

ANNA MASS

ur. 1921; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, Brześć, ZSRR, Warszawa, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; okres międzywojenny ; Żydzi ; ulica Lubartowska ; ulica Peowiaków 3 ; kuchnia żydowska ; czulent ; maca ; antysemityzm ; II wojna światowa ; Zagłada ; ZSRR ; Syberia ; Komi ; Jankiel Szwarc ; ulica Narutowicza ; modniarstwo ; Perla Kac ; Sara Szwarc ; getto ; Bund ; jidysz (język)

Rodzina

Nazywam się Anna Mass, przed wojną nazywałam się Chana, z domu jestem Szwarc. Urodziłam się w Lublinie, nawet nie mogę powiedzieć, [że] na ulicy Peowiaków, bo z początku rodzice wędrowali, ojciec szukał pracy jako zegarmistrz. Matka opowiadała, że [kiedy wędrowali, to mojej siostrze], która urodziła się w '20 roku wiosną, wodę dawała, nie miała pokarmu, bo głodna była i nie miała co dawać jeść, tak ciężko było z początku. Czy ja się urodziłam już w Lublinie? Być może, że urodziłam się już na Peowiaków. Mieszkaliśmy na Peowiaków 3, to jest koło Teatru [im.] Osterwy, w małym piętrowym budynku, gdzie drugie piętro to był już strych. Tam był skład żelaza Wolmana przed wojną, to był bogaty Żyd, handlarz żelazem, miał przedstawicielstwo na całe województwo lubelskie. Mieszkaliśmy tam w piątkę, bo jeszcze wtedy babcia żyła, matka mojej matki, mieszkała z nami. Ona pochodziła z bogatej rodziny, tylko jak to było dawniej, córkę się wydawało za mąż, dawało się posag, a synowie dziedziczyli [majątek], no i synowie, [jej bracia], przegrali w karty dom. Babcia była z dziesiątym dzieckiem na rękę, jak jej mąż umarł na gruźlicę. [Mieli] dziesięcioro dzieci, z tego dwoje dzieci umarło – jedno na odrę, a drugie zachłysnęło się, nie wiedzieli, co mają robić, zamiast stuknąć, złapać za nogi, to dziecko się udusiło. Matka była przedostatnim dzieckiem, drugą córką, to byli sami synowie. Niestety, ta gruźlica pokutowała i ci synowie umierali, kiedy już zaczynali pracować, [mieli] po 15-16 lat. Jeden zdążył się ożenić, miał 18 lat, [jego] żona była w ciąży i on umarł, nie doczekawszy tego dziecka. Tak że została babci tylko moja mama. Babcia nazywała się Perla Kac, z domu Rot, z bardzo znanej, bogatej rodziny Rotów, ale sama była biedna. Z początku żywiła się w ten sposób, że piekła ciasto i sprzedawała, bo to umiała dobrze, żadnego zawodu nie miała, wyszła za mąż, [gdy] miała piętnaście lat, za chłopca niewiele starszego – wtedy tak u chasydów, u tych

ortodoksyjnych Żydów wyglądało, Żydzi się młodo [żenili], a potem rodzice [ich] utrzymywali, rok jedni, rok drudzy, dopóki nie stanęli na własnych nogach. Mój dziadek, którego nie znałam, był chasydem i siedział głównie w jeszybocie, mało co zarabiał. Babcia karmiła dzieci do dwóch i więcej lat, żeby co roku nie rodzić; kiedy karmiła, to nie rodziła.

Kiedy moja matka miała pięć lat, to jeździła do siostry dziecka i tam pomagała karmić małego, gotowała kaszkę dla tego swojego siostrzeńca. Ta jej siostra umarła, ona wyszła za mąż – bo babcia chciała ją dobrze urządzić – za starszego człowieka, nie kochała go, prawdopodobnie była nieszczęśliwa, na Jom Kippur poszła do synagogi boso, przeziębila się, a ta gruźlica tkwiła w niej i umarła, dziecko zostało małe. Tego siostrzeńca [mamy] pamiętam, bo oni byli prawie rówieśnikami z moją matką, on się urodził, kiedy miała trzy lata. Była jeszcze wnuczka [babci], co się urodziła z tego syna, który umarł, moja babcia nie chciała jej znać, tej wnuczki nie kochała, bo uważała, że przez synową ten syn umarł, [ponieważ] jak [babcia] przynosiła jemu coś jeść, to ona to jadła. Ta wnuczka później wyszła za mąż, miała dwoje dzieci, myśmy się widywali czasami, bo moja matka utrzymywała kontakt z rodziną, myśmy się widywali. Tam była dwójka dzieci, ale oni zginęli w czasie wojny.

Edukacja

Jak siostra skończyła siedem lat, to poszła do szkoły żydowskiej, ale aż na Lubartowską, kawał drogi. Ja poszłam z nią od razu, mając pięć lat, bo nie chciałam [zostać w domu] – siostra idzie, to ja też pójdę. Ponieważ nauczycielka była znajomą matki, to przymykała oczy, że ja chodzę do szkoły. Jak się [idzie] od Bramy Krakowskiej w dół na Lubartowską, to gdzieś po prawej stronie [była ta szkoła], ale gdzie dokładnie to już nie pamiętam. Jak zdałyśmy do trzeciej klasy, matka zdecydowała, że przenosi nas blisko domu, do szkoły zwykłej powszechnej, więc już mogłyśmy iść same, mama nie musiała nas prowadzić. Siostrę cofnęli do drugiej klasy z tej żydowskiej szkoły, a mnie do pierwszej, bo miałam siedem lat, i ja się strasznie oburzyłam, poszłam do nauczycielki, chociaż nie byłam wcale taka śmiała, i powiedziałam, że chcę się uczyć razem z siostrą. Ona powiedziała, że muszę przejść egzamin, napisała mi jakieś zdanie z rzekami, żeby błędy ortograficzne ewentualnie wychwytać i potem powiedziała: „Teraz sprawdź, czy nie zrobiłaś jakiegoś błędu” i pamiętam, że jeden błąd sama wychwyciłam. Coś tam przeliczyłam. Przenieśli mnie do drugiej klasy i uczyłam się razem z siostrą. Szkołę powszechną skończyłam bardzo dobrze i chcieli, żebym się dalej kształciła, bo poza historią współczesną, z której miałam czwórkę, miałam same piątki, kochałam matematykę, fizykę, przedmioty ścisłe, co nie przeszkadza, że z polskiego też miałam piątkę i nie robiłam nigdy błędów. Wychowawczyni wezwała rodziców na koniec roku i powiedziała, że powinnam iść do gimnazjum, bo się tak dobrze uczę, ale ja usiadłam – trzynastoletnia smarkata – i wytłumaczyłam rodzicom, że na to nie ma pieniędzy, że ja nie będę udzielała korepetycji, bo nie mam cierpliwości do tego, nie potrafię uczyć. [Normalnie]

płaciło się czterdzieści [złotych], to był majątek; [aby płacić ze zniżką za dobrą naukę] dziesięć złotych, też rodzice nie mieli, bo to był pieniądz, to było dziesięć kilo cukru, już nie mówiąc o pięciu słoniny czy czego. Wytłumaczyłam rodzicom, że przez te parę lat ja już będę miała zawód i zacznę zarabiać. Chociaż znajoma mówiła, że jestem doskonałą krawcową, pięknie szyłam dla lalek, to [uważałam], że nim uszyję suknię, to mi się znudzi i zdecydowałam, [że] wolę iść do kapelusznictwa. Zaczęłam się uczyć zawodu modystki i do wojny pracowałam jako modystka. Siostra z początku chodziła do gimnazjum, ale ona nie miała takiej otwartej głowy do nauki, ciężko jej to szło, chociaż była pilna, pieniędzy nie było, więc zrezygnowała.

Praca jako modystka

Poszłam do pracy. Chociaż przyjęli mnie do pracy w wieku trzynastu lat, nie mogli mnie zarejestrować jako pracownika, dopóki nie skończyłam co najmniej piętnaście lat, więc nie mogłam być uczennicą. Jak przychodziła kontrola, to uciekałam przez drzwi od podwórka, bo nie mogli widzieć, że takie dziecko tam chodzi. Były kontrole z urzędu pracy, czy nie pracują nieletni. Ale potem zmieniłam tą pracę. Zrobiłam [szefową] na szaro, bo wykorzystywała mnie jak mogła. To było niedaleko ode mnie, kilka ulic, ale matka prosiła [ją], żeby mnie puszczała przed dwunastą, [to ona powiedziała]: „Sezon zimowy to jest sezon kapeluszniczy” i mnie o dwunastej wypuszczała z domu, szłam sama po ulicach po ciemku, nocą. Więc ja w końcu zrobiłam ją na szaro – w pełni sezonu znalazłam inną pracę i przeniosłam się tam. Było tak, że powinnam płacić za naukę, ale jeśli nie płaciłam, to [w pracy] mnie też nic nie płacili, to ona jak zobaczyła, że ja chwilę stoję i nic nie robię, to zaraz szukała roboty dla mnie – a to tu nie dosprzątałam, a to tam nie robiłam, a to w tej szufladzie trzeba robić porządek – i te pracownice mnie uprzedzały, że nie mogę stać bezczynnie. Ale każdą wolną chwilę, kiedy jej nie było, ja patrzyłam jak one szyją, jak robią te kapelusze ręcznie, bo to nie były fabryczne – ręczne to można było wyjść na większy deszcz i one się nie deformowały, a fabryczne się deformowały niestety. [Pracownia była] chyba na Kapucyńskiej. I ja później przerzuciłam się do innej, a ponieważ już dobiegałam piętnastu lat, to już miałam umowę spisaną. Już umiałam robić kapelusze wtedy, bo już [wcześniej je] robiłam. Jak [poprzednia szefowa] nie miała pracownicy, bo zachorowała, nikt nie umiał robić tych toczków, a ja umiałam, bo widziałam jak ona to robi, więc ja już zaczęłam pracować wtedy u tej szefowej, [którą] w sezonie złośliwie zostawiłam. Nie miałam umowy o pracę, nie musiałam złożyć wypowiedzenia przedtem, mogłam zwyczajnie powiedzieć: „Jutro nie przyjdę” i koniec.

Ta druga praca to było gdzieś na Krakowskim Przedmieściu. Był taki sklep, tam [było] duże podwórko, teraz tego budynku nie ma, na rogu Kapucyńskiej i Krakowskiego Przedmieścia, ten budynek już nie został wzniesiony, on w czasie wojny został zburzony. Kiedy [tam] pracowałam, któregoś dnia ja poszłam, wody nie było wtedy w tym sklepie, a do prasowania kaplinów, tych różnych kapeluszy potrzebna była woda

i ja wyszłam ze sklepu tylnym wyjściem na podwórko i zobaczyłam, że dozorca otwiera w środku wejście do kanału, bo coś tam zaczęło zalewać. I jak przeszłam, to się to podwórko zapadło, jego zasypało, do dziś nie wiem czy on przeżył, pamiętam, że biały zupełnie był wyciągany, wykopywany stamtąd. I cała ściana przednia poszła, tylko nasz ten [sklep] nie, od samej góry załamała się cała ściana, wszystkie mieszkania się odsłoniły – taki był wtedy dramat. Ja tam pracowałam i jeszcze inną miałam pracę – szefowa wiedziała, że ja mam dobrą pamięć wzrokową, wysyłała mnie w sezonie, czyli zimą przeważnie, w karnawale, na ulicę i jeśli podpatrzyłam jakiś nowy kapelusz u kogoś na głowie, to ja go kopiowałam później w pracowni. To się robiło ze sztywnego muślinu, takiego specjalnie usztywnianego. To jest tak jak z krawiectwem – każdy fason musi się płasko rozłożyć. Jeśli [się] robi formę, [to] ona musi się rozłożyć płasko, bo jeżeli będzie sterczało, to nie wyjdzie. Te kapelusze, nowe modele były bardzo krótko, bo nie tylko nasza pracownia robiła, ale inne też. Jak panie płaciły drogo za modne [kapelusze], żeby mieć jeden, to góra tydzień [chodziły w tym] jednym, bo niestety już kopiowały te pracownie. I ja głównie właśnie siedziałam i robiłam te kopie, bo ona uważała, że ja to dobrze robię. Ja tą właścicielkę znalazłam po wojnie, mieszkała na Waszyngtona w Warszawie, krótko z nią rozmawiałam.

Lubiłam [tę] pracę. [Tuż] przed wojną zarabiałam [trzydzieści] złotych i już miałam zdać egzamin czeladniczy – wojna wybuchła, więc już nie zdałam. Jeszcze w międzyczasie zrobiłam szkołę doksztalającą zawodową, czyli miałam jak gdyby małą maturę, to było właściwie materiałoznawstwo. Tą szkołę skończyłam, dwa lata chodziłam do niej, to już z pracy posyłali. Chodziło się kilka razy w tygodniu, uczyli kalkulacji, różnych rzeczy – nie przydało mi się [to], nie mam zakładu. Po wojnie modystką nie mogłam być, bo nikt nie nosił kapeluszy.

Wyrabianie kapeluszy

Cięto się, prasowało, rondo się modelowało. Ciągłe się prasowało na mokro i trzeba było wymodelować to rondo. Ja sama bardzo wcześnie nosiłam kapelusze, oczywiście siostra i matka też. Główkę kupiłam, żeby mieć w domu na czym to robić, bo to musi być kształt głowy z szyją – w sklepie to były różne obwody, 55, 56, to zależy, jeden ma większą głowę, drugi mniejszą – na tym się układało tą górę kapelusza i to rondo się prasowało. [Kapelusze robiło się] z filcu. Były gotowe kapliny, to się dopiero rozcinało i dopasowywało. Kaplin to był taki kapelusz jakby, filcowy, ale nic [innego] nie było, [tylko] gładka główka i duże rondo. Były jeszcze takie jakby worki filcowe, tańsze i to się dopiero rozciągało na mokro i robiło te rondka, to była gorsza praca, ale to było raczej do toczków, gdzie niepotrzebne było rondo. To się prasowało na gorąco. Trzeba było przyciąć według fasonu, co ja tam wybrałam, były inne fasony, to się według nich cięło. Nawet w sezonie zmieniały się kapelusze i wielkie damy nosiły zawsze różne kapelusze. Ponieważ wyglądam jak wyglądam, to ja nosiłam zawsze rondo, ale z tyłu miałam podniesione, nigdy nie miałam długiej,

łabędziej szyi i wiedziałam, jaki kapelusz mam nosić, żeby było dobrze.

[Kapelusze ozdabiano się] wstążką, piórkami, ptaszkami. Jeśli [przyczepiało się] tylko kokardę, to się samemu robiło, ale jeśli gotowe elementy, to się po prostu przyszywało. W środku szła wstążeczka, która [zapobiegała temu, żeby] się nie ślizgał ten kapelusz. Wielki kapelusz miał gumkę, która z tyłu trzymała pod włosami, żeby kapelusz nie uciekł z wiatrem – jak mi się kiedyś zdarzyło w Warszawie, że samochód przejechał, musiałam wyrzucić – nie miał prawa uciec.

Kapelusz mógł być w kolorze ubrania, rękawiczki i torba musiały być jednakowe w kolorze, kapelusz mógł być jak kolor butów – to było kolorystycznie jakoś uzależnione, nie mogło być byle co z byle czym. Moda to jest moda, to tylko teraz młodzież potrafi chodzić w cienkiej ładnej spódnicy i grubym swetrze, co w ogóle nie pasuje do siebie.

Pochodzenie ojca

Mój ojciec pochodził z Przedborza, to jest w [województwie] kieleckim. [Nazywał się] Jankiel Szwarc. Moja mama miała Sara na imię i pochodziła z Lublina, urodzona w Lublinie. A ojciec wędrował za pracą. Z początku, jak to dawniej u Żydów, on chodził do jeszybotu, był sierotą, znaczy matka żyła, ale ojciec nie żył. Urodził się w 1893 roku. Miał rok, jak jego ojciec umarł na gripę, była wtedy jakaś pandemia grypy. Ojca matka to była Ita – z domu też się nazywała Szwarc, zbieg okoliczności – była nauczycielką prawdopodobnie w żydowskiej szkole. Dziadkowie byli ortodoksyjni, oni głównie chowali ojca i on chodził, tak jak żydowskie dzieci, do chederu, jak miał trzy lata, potem przeszedł do wyższej religijnej szkoły. Jak próbował się ślizgać – bo nad Pilicą mieszkali – czy latem się kąpać, to miał wytargane uszy przez dziadka, bo nie jest żadnym łobuzem, żeby tak się bawił. U ortodoksyjnych Żydów mali chłopcy to nie są dzieci, od małego się uczą. Teraz się mówi, że sześć lat to jest za wcześnie do nauki. Dzieci żydowskie szły do chederu, potem do wyższej szkoły. Jak chłopak kończy trzynaście lat, to przechodzi bar micwę, to jest jak polskie bierzmowanie, wtedy czyta artykuł po hebrajsku w synagodze i od tego czasu jest dorosły i może się żenić. Takie jest dzieciństwo żydowskiego chłopca. Jak [ojciec] zaczął pracować jako zegarmistrz, to mając szesnaście lat, pojechał w świat szukać pracy i jeździł po dworach wiejskich, reperował duże zegary, reperował inne zegary i miał z tego zarobek. W ten sposób zawędrował któregoś dnia do Lublina, już miał wtedy dwadzieścia parę lat. Nie pamiętam gdzie on poznał moją matkę, a że moja matka była starsza o trzy lata od ojca, to po jakimś krótszym czy dłuższym chodzeniu powiedziała mu, że ona już dobiega dwudziestu siedmiu lat i nie ma czasu, jeśli on poważnie myśli, to niech się „ochajtnie”, a jeśli nie, to ona musi zerwać. Mój ojciec był zakochany i się ożenił. I tak się zaczęło nasze życie. Babcię Itę jeden raz tylko widziałam w życiu, bo jechać do tego Przedborza dla nas to był straszny pieniądz, a ona też nie miała pieniędzy, żeby przyjechać. Raz przyjechała, akurat miałam szkarłatynę wtedy i zapamiętałam jedną rzecz – nauczyła matkę szydełkować,

poprząła jakąś sukienkę, zrobiła piękny ogromny szal. Ja się nauczyłam przy niej szydełkować i potem całą rodzinę ubierałam w swetry i mogłam sobie dorabiać.

Dodatkowe źródła dochodu rodziny

Jak pracowałam jako modystka i nic nie zarabiałam, wtedy modne były takie kosmetyczki z suwaczkiem, robiło się z jedwabiu takie muszelki szydełkiem, wszywało się do środka podszewkę i suwak, rączkę, uchwyt i to była elegancka torebka do chodzenia na co dzień, nie miało się tyle rzeczy w torbie, ile dzisiaj, więc ja zarabiałam, robiąc te torebki. W międzyczasie nauczyłam się na drutach też robić, robiłam lizeski – to jest takie poranne wdzianko. Jak dama wstaje z łóżka, zakłada szlafrok i na to lizeskę, żeby jej nie było zimno, albo leży w łóżku chora w tej lizesce. To jest kawałek materiału, robi się trzy metry materiału, osiemdziesiąt centymetrów szeroki, z dwóch kolorów włóczki, wtedy była tak zwana włóczka riwiera, bardzo cienka wełenka i to się robiło na grubych, centymetrowych kołkach, te druty były drewniane, to się nazywały kołki, i to się robiło zwykłym lewa-prawa, zwykły wzór. A potem się dookoła robiło muszelki, łączyło się te dwa kolory, przekładało, był szalowy kołnierz, rękawy, przyszywało się pompon. Ja to wstawiałam do butików i jak mnie kosztowała włóczka, powiedzmy, trzy złote, to brałam za to dziesięć złotych, a ile czasu robiłam, to się nie mówi. Robiłam jeszcze różne rodzaje serwetek, które wtedy były bardzo modne, ale nie serwetki płaskie, tylko serwetki wybudowane, z różyczkami, właściwie tylko ozdobne, tam nic się nie postawiło na wierzchu, z listkami, z kordonku się robiło. To wstawiałam do butiku i to był mój zarobek. W ten sposób dorabiałam, musiałam, rodzina nie była bogata. Przed samą wojną [zarabiałam] trzydzieści złotych – już ja się utrzymywałam, ja się już ubrałam, wtedy zaczęłam nosić długie kreacje, bo były modne długie spódnice, przestałam chodzić w tych szkolnych rzeczach, które miałam przedtem. Zaczęłam się inaczej ubierać, bo już miałam parę groszy swoich. [Byłam] niezwykle samodzielna, ale moja matka poszła do pracy, [gdy] miała dziewięć lat, do fabryki pończoch. I pamiętam, jak były jakieś potrzebne pieniądze w domu, to ona szła do tej fabryki, brała maszynę, [którą] miała. Były tak zwane klockowe, zwykłe pończochy i robiła na tej maszynie, piąty pamiętam jak wyrabiała. Dostawała ściągacze do skarpet, a potem robiła całą skarpetę, naciągała na drewniane foremki, żeby uformować je. Babcia moja do samej wojny sprzedawała gazetę na ulicy – to nie był kiosk, tylko jak drabinka z [przegrodami, w które] mogła wkładać gazety. Sprzedawała te gazety na ulicy Lubartowskiej chyba 8. Babcia Perla. Jak ja szłam zanieść jej czasem zupełnie stamtąd, gdzie mieszkaliśmy, kawał drogi, na tą Lubartowską, to babcia siedziała i miała garnek z węglami między nogami, to ją grzało, mogła w mróz siedzieć. Ale kiedyś sobie spódnice przypaliła, jak nie zobaczyła dobrze, ludzie powiedzieli: „Pali się pani”. Babcia do wojny tak pracowała i na dobrą sprawę nie wiem, czy ona umarła z głodu, czy już ze starości nie przeżyła tej okupacji, bo miała dziewięćdziesiąt lat jak wojna wybuchła.

Śmierć matki i siostry w obozie zagłady

Siostra i matka zginęły w Bełżcu w '43 roku [wówczas obóz w Bełżcu już nie funkcjonował – przyp. red.]. Ja siedziałam od nich dwa tysiące kilometrów w Komi, to był wieczór, czytałam przy kopczącej naftowej lampce, dlatego kopczącej, że szkiełka nie było, tylko sam knot, z ojcem siedziałam, gospodyni wyszła i uprzedziła mnie, że wychodzi, żebym zwróciła uwagę, ale tam złodziei nie było. I ja usłyszałam: drzwi się otworzyły, zamknęły, kroki. Jak ja czytam, to dla mnie wszystko [umiera]. Podniosłam głowę i powiedziałam do ojca: „Mama przyszła” i dopiero spojrzenie ojca uprzytomniło mi, co ja mówię. Ale potem się dowiedziałam, że matka zginęła właśnie w kwietniu w '43 roku, wtedy kiedy do mnie przyszła, ponieważ ja miałam bliski kontakt telepatyczny z matką. I wierzę w telepatię dzięki temu, ale w rodzinną telepatię, nie wiem czy wśród obcych bywa, chociaż czujemy czyjś wzrok na sobie. Myślę, [że matka] albo żegnała się ze mną, że ona odchodzi już, albo żegnała się, kiedy już odeszła. Ja się [o jej losie] później dowiedziałam przypadkowo. Myśmy na Peowiaków mieszkali, był ten skład żelaza i tam pracował nasz dozorca, który mieszkał w tym domku, zresztą tylko my i on mieszkaliśmy tam. Wiedziałam, bo matka mi pisała, póki była w getcie, że on przychodził do getta i pomagał – w tym sensie, że przedwojenne pieniądze brał za słoninę czy za co, żeby coś przywieźć do tego getta. Jak wojna się skończyła, jeszcze nie do końca, jak Lublin był oswobodzony, to ja napisałam do magistratu z prośbą, żeby mi powiedzieli, co się stało z moją rodziną i powołałam się na Józefa Bogusza, tego dozorcę, że on będzie wiedział. My byliśmy częściowo zaprzyjaźnieni, bo ojciec mój był bundowcem, a on był pepesowcem, więc mieli wspólne tematy i [byli] zaprzyjaźnieni; nie chodziliśmy do siebie w gości, ale rozmawialiśmy jak przyjaciele. Okazało się, że znaleźli go w Gdańsku. Napisał pismo, że matka i siostra zginęły w '43 roku, tylko on myślał, że na Majdanku. Później się dowiedziałam, że to był Bełżec [patrz: pierwsze zdanie w tym fragmencie]. I ja o tym wiedziałam [już w Komi], ale wtedy ojcu nie powiedziałam, bo ojciec, wieloletni palacz, miał serce nie bardzo w porządku, bałam się mu powiedzieć, że matka nie żyje. Później to już słyszeliśmy sami, co się działo w Polsce, więc on już był przygotowany jakby na to.

Siostra

Siostra moja jakiś czas była guwernantką, potem pracowała w sortowni chmielu, pracowała w tej fabryce, też grosze zarabiała. Nie miała zawodu.

Jak ja miałam dziewiętnasty rok, to ona już miała dwudziesty pierwszy, miała chłopaka, ale jeszcze nie myślała poważnie. Ja też miałam chłopaka, to był uczeń mojego ojca, zegarmistrz, zaczął ze mną chodzić, to ja miałam trzynaście lat, a on miał dwadzieścia, ja zawsze uważałam, że mężczyzna powinien być starszy od kobiety, żeby się wyhulał przedtem. Siostra była piękną dziewczyną, wysoką, szatynką, o ciemnych oczach, ja byłam mała i chuda, ona trochę przy kości. Jak ona

przyprowadziła chłopaka do domu, zupełnie niechcący ja go jej odbijałam, bo ja byłam bardzo żywa, bardzo wesoła, bardzo roześmiana, a ona była za poważna. Poza tym, prawdopodobnie to jest trochę wina rodziców, jak ją o coś pytali, to ona powiedziała: „Ja nie wiem, ale moja siostra wie” – sama mnie ustawiała na pewnym poziomie. Jak Niemcy weszli, to ona przez trzy miesiące w ogóle nie wychodziła z domu, tak się ich bała, tak jakby miała przecucie, że zginie przez Niemców, bała się wyjść z domu. Dlatego ja pojechałam szukać ojca, bo ja byłam ta odważna, ja prowadziłam z moim kolegą ten warsztat zegarmistrzowski i rozmawiałam z Niemcami – jako że język żydowski pochodzi z niemieckiego, to ja się umiałam [dogadać]. Pamiętam, jak się wściekł ten Niemiec, kiedy ja powiedziałam Dajczland a nie Deutschland, bo u Żydów się wymawia Daj.

Marzenia zawodowe

Zawsze lubiłam ścisłe przedmioty, dla mnie matematyka to była krzyżówka, ja bardzo lubiłam krzyżówki zawsze, i fizyka też przy okazji, historii jakoś nie lubiłam. I zawsze chciałam być lekarzem, ale na to nie miałam warunków, przed wojną zresztą nie zdążyłabym, bo zdążyłabym gimnazjum skończyć, a po wojnie mogłam na dwa lata wyjść z domu, zrobić szybki kurs średniej szkoły i iść na medycynę, ale wtedy musiałabym starszą córkę zostawić u męża w Dzierżoniowie, bo tam mieszkaliśmy, i przenieść się do większego miasta, gdzie można studiować. Na to już się nie pisałam, nie mogłam zostawić rodziny. Więc w końcu nie skończyłam tych studiów, nie zostałam lekarzem. Ale po wojnie zastanawiałam się, czy zostanę. Zawsze chciałam być chirurgiem, nawet paznokcie mam takie szerokie, krótkie jak chirurg. Zawsze chciałam być chirurgiem, bo uważałam, że chirurg natychmiast widzi, że pomógł albo i nie pomógł. A po wojnie to więcej się zastanawiałam nad endokrynologią, a trochę nad astronomią. Ale w ogóle nie skończyłam nic.

Rozmowa z koleżanką w przeddzień wojny

Jak ogłosili mobilizację w przeddzień wybuchu wojny, [wracałyśmy] znad Bystrzycy z koleżanką – jak ja [miała] na imię, tylko nazwisko miała Borensztajn, była nazywana nie Ania, tylko Andzia, ja byłam Hanka. Myśmy wracały z kąpieli w Bystrzycy, widzimy ogłoszenia o mobilizacji, a że wojna wybuchnie, to już czuło się przecież, stanęłyśmy przed tym ogłoszeniem i ja mówię do niej: „No, Andzia, jak ty powiesz, przeżyjesz wojnę czy nie?”, ona mówi: „Nie”, ja mówię: „A ja wojnę przeżyję”. Ale ja podobno mam dużą intuicję, ta intuicja mi odpowiedziała, że ja będę żyła. I przeżyłam. Inna rzecz, że nie myślałam, że po takiej wojnie będę żyła tyle lat.

Lekarze przed wojną

Myśmy mieli lekarza domowego, ale to był prywatny lekarz. Ja miałam ubezpieczalnię, bo pracowałam; z początku nie, ale później jak już miałam umowę, to już miałam ubezpieczalnię. Ale ta ubezpieczalnia nie była lepsza niż służba zdrowia

dzisiaj – lekarz tak samo sobie bimbał. Jak poszłam, że mi spuchła szczęka od zęba, który szedł i zrobiła się ropa, to on mi dał jakąś maść, która mi to spędziła, nie powiedział, że muszę iść do chirurga i jak poszłam wreszcie do chirurga, to już miałam zakażenie krwi. Tak że ta służba zdrowia nie była wcale najlepsza. Myśmy mieli domowego lekarza, który i brzuch przeciął, i dziecko przyjął jak trzeba było, wszystko umiał robić, wszech talent. A teraz są tak wąskie specjalizacje, że nie wie jeden specjalista, co zaordynuje drugi. On mieszkał gdzieś na Kościuszki, niedaleko nas. Wszystko umiał – dzieci leczył, dorosłych leczył. Ale kto tak często biegał do lekarza [wtedy] – człowiek sam się leczył, póki mógł.

Żydowski Lublin

Myśmy mieszkali w dzielnicy polskiej, czyli w centrum Lublina. Dzielnica żydowska to była Lubartowska i okolice, Szeroka, część Świątoduskiej, chociaż Świątoduska mniej i całe Stare Miasto. To nie było getto, tam były szkółki żydowskie, te religijne, tam byli ci rebe, jak się mówi, to nie jest rabin, to jest człowiek wierzący, który ma szkołę, ma kilku uczniów. Wchodziłam w dzielnice żydowskie i patrzyłam zdumionym wzrokiem, jak oni tańczą przy modlitwie, bo taniec, organy, śpiew w synagodze był, dopóki chrześcijanie nie wprowadzili organów, śpiew do dziś jest, tylko chłopięcy chór, ja byłam zaskoczona, że przyjechał chór do synagogi mieszany, mężczyźni i kobiety, bo tego nie ma u Żydów. Nawet jak się tańczy na weselu, to oddzielnie tańczą dziewczyny, oddzielnie chłopcy. Jak on tańczy z kobietą, nie bierze za rękę, tylko za chusteczkę i ona trzyma tą chusteczkę – to chodzi o ortodoksyjnych Żydów oczywiście.

Dla mnie teraz Lublin jest zupełnie inny. Pod zamkiem nie było tak jak teraz jest; przez Bramę Krakowską, Grodzką tam się schodziło, teren żydowski był tam. Ja pamiętam jak z Bramy Krakowskiej weszłam na Grodzką, to tam stały prostytutki i kiedyś patrzę – jedna idzie z drugą, ta druga zaczęła mężczyznę i poszła z nim, to ja się obejrzałam i ja wiedziałam, co to jest, nie byłam taka głupia, zamierzyła się druga na mnie parasolką, musiałam uciec, że ja się oglądam jak tamta idzie z mężczyzną. Ta pierwsza uliczka na lewo, Szambelańska, to była dziedzina prostytutek. Jeżeli się schodziło [niżej], to przeważnie siedzieli chłopcy z obwarzankami lubelskimi, czasem wzięłam dziesięć obwarzanków, to na rękę się brało i niosło do domu. I tam też chodziłam po chleb specjalnie do piekarza na Grodzką, bo był świetny, świeży, gorący, [brałam] bochenek dwukilowy sitka. [Ulica] Szeroka nie była taka szeroka jak teraz [miejsce po niej]. Jak schodziłam na dół na Lubartowską, do babci szłam czy do rodziny, to targ, gdzie teraz stoi pomnik [Pomnik Ofiar Getta, obecnie przeniesiony], to był prawdziwy targ, a jak nie było dni targowych, to można było zjeżdżać na takim koszu płaskim. Zamiast na sankach dzieciaki zjeżdżały na tych koszach z góry po śniegu. Po żydowsku nazywało się opekel, ale jak się nazywało po polsku – nie mam pojęcia. To były takie kosze, na których solilo się mięso, bo u Żydów trzeba posolić [na] dwie godziny mięso, a potem

można dopiero gotować, jak [sól] wyciągnie resztę krwi z tego mięsa. Pamiętam jak babcia smażyła wątróbki, ja jej nie cierpiałam, znaczy lubiłam tą opiekana, bo ona przedtem ją posoliła, opiekła na ogniu, a potem dopiero smażyła, bo krew nie może być świeża. To było twarde jak podeszwa, to rozumiałe, dlatego wątróbki nie lubiłam, ale lubiłam te przypalone kawałki posolonej wątróbki zjadać, to miało inny smak.

Przed wojną było w Lublinie czterdzieści procent Żydów, zresztą w miastach zawsze było dużo Żydów. I właściwie po żydowsku można było we wszystkich urzędach się porozumieć, jeżeli ktoś nie umiał dobrze po polsku mówić. Moi rodzice mówili po polsku źle. W żydowskim, tak jak w niemieckim, są cztery przypadki, nie rozumieli tych siedmiu przypadków, nie chodzili do szkół, nie nauczyli się gramatyki, nie umieli tego. Ale bardzo mądrze zrobili, że w domu się rozmawiało po żydowsku, a na ulicy rozmawiałam po polsku i wtedy nauczyłam się prawidłowo mówić, bo tak to bym się nauczyła mówić jak rodzice, a to niestety zostaje. Czego się w dzieciństwie nauczymy – nawet nie w młodości – to nam zostaje na całe życie, więc bardzo dobrze zrobili, że nie rozmawiali z nami po polsku. [Byłam] dwujęzyczna od początku. Póki żył Piłsudski, to jeszcze jakaś demokracja w Polsce była, bo on był przecież pepesowcem – co nie szkodzi, że tą Berezę Kartuską zbudował i tak dalej – ale jak on umarł, zaczęła się faszyzacja Polski i zaczęły się hece antysemityczne. Ja byłam z jednej strony nieśmiała, a z drugiej bardzo bojowa, więc jak mnie zaczepił chłopak, to ja się broniłam. Niestety, broniłam dosyć okrutnie, bo się nauczyłam z książki „Czarownice z Salem”, że chłopaka wystarczy kopnąć gdzieś, gdzie go boli, żeby go wyłączyć z gry. I ja tylko tak przymierzałam długość mojej nogi i zawsze nieomylnie dostawałam między nogi, to było: „Olaboga!” – uciekał do bramy i kończyły się ataki. Z dziewczynami potrafiłam się tłuc – jak to dziewczyny, za włosy. Ale ponieważ przeważnie wygrywałam, to już mogłam spokojnie iść dalej, nie dałam sobie w kaszę dmuchać. Zawsze wiedziałam, że jestem Żydówką i wiedziały moje dzieci, że są Żydówkami, bo uważałam, że narodowości nie można się wstydzić, taka się urodziłam, jaka się urodziłam.

Dalsza rodzina

Babcia mieszkała [wcześniej] na Lubartowskiej. Część rodziny po [jej] bracie [miała] – to chyba Kalinowszczyzna – garbarnię. Smród jak diabli, nie lubiłam tam chodzić, bo to wszystko przesiąkło tymi skórami. Ale ja tam chodziłam. Nie tyle utrzymywaliśmy kontaktu, bo my biedni, oni bogaci, chociaż rodzina – to [była] bratanica mojej babci – [ale] jak przychodziłam, zawsze mnie poczęstowali obiadem. Sprawa wyglądała tak – babcia handlowała gazetami i oni robili jej przysługę, że u niej gazety brali, musieli dojeżdżać i brali te gazety, ale nie płacili od razu i ja przychodziłam raz w tygodniu czy raz na dwa tygodnie odebrać pieniądze. Mogłam dojechać za dwadzieścia groszy autobusem, to było dosyć daleko, ale dwadzieścia groszy to jest majątek, można mieć cztery bułki za to, dwie pomarańcze, więc ja szłam na piechotę, miałam dobry

spacer i brałam te pieniądze. Ona mnie częstowała tam, czasem jeszcze wsiadłam do bryczki, konie zaprzężone, ruszyłam lejce i one poniosły, Boże, sama radość była. Znałam jeszcze [inną] rodzinę też, ona też nie była bogata – to mojej babci jakieś pociotki, wyjechali do Izraela. Jedna z kuzynek nawet przyjechała i była u mnie, odnalazła mnie w Warszawie już. Ale kontakt się zerwał, przecież w czasach komunistycznych nie wolno było utrzymywać kontaktu z Izraelem. Ona chyba wyjechała przed wojną. Różnie bywało z tą rodziną. [Z] jednym jakimś dalekim krewnym ojca nie zdążyliśmy się skontaktować, bo kiedy ukazało się jego pismo w gazecie, że on szuka rodziny, to myśmy dopiero wrócili ze Związku Radzieckiego, w '46 roku dopiero nas wypuścili, więc on już zdążył wyjechać, nie wiem dokąd już, ale nie znaleźliśmy [się].

Letnie pobyty w Kazimierzu

Mój ojciec był zegarmistrzem. Latem nie było roboty w Lublinie, ludzie wyjeżdżali, [najczęściej przebywali] w Kazimierzu, kiedyś były zegarki normalne, a nie takie jak teraz, na baterie, że jak się zamoczyło, to albo trzeba było wyczyścić, bo mogło zardzewieć, albo trzeba było sprężynę zmienić, bo woda i sprężyna to jest niedobrze, to ojciec latem tam prędkiej miał robotę. I dzięki temu, że on tam pracował latem, to my, niebogata rodzina, wyjeżdżaliśmy do Kazimierza, bo łatwiej było prowadzić jeden dom niż jeden tu i drugi tam. Tam się wynajmowało jakieś mieszkanie, żeby mógł prowadzić pracownię i myśmy sobie tam byli latem. Matka wyjątkowo kochała słońce i leżała całe dni na plaży. Ja byłam chuda, mała i anemiczna, a matka nie mogła zrozumieć, że wyjeżdżam na całe lato i jeszcze chudnę tam – traciłam apetyt na tym słońcu. W wodzie mi było zimno, w Wiśle, a na plaży za gorąco – i tak źle, i tak niedobrze. Ja bym wolala nie chodzić na plażę, ale matka [do tego zmuszała]. Do dzisiaj nie lubię plaży i nie bywam. Ale matka ubóstwiała słońce.

Kazimierz był pięknym, malowniczym miastem. Nie to co dzisiaj. Przede wszystkim ta droga, co idzie do baszty, to był wąwóz, gdzie zbierałam latem poziomki. Te krasowe wąwozy są cudowne. W kierunku Bochotnicy jeden wąwóz za drugim idzie. Tam się schodziło bardzo daleko w dół do Wisły wąwozem. Pamiętam jeszcze '33 rok, kiedy była straszna powódź i w Kazimierzu woda dochodziła do Rynku, tak wylała Wisła. Można było zejść kawałek, jeszcze w tym parku nad wodą – teraz jest tam piękna droga i wał zrobiony, ale wtedy nie było tego – w tym parku też była woda. I pamiętam taką śmieszną rzecz – stoi mężczyzna w wodzie, wiosłem trzyma kajak, stoi w wodzie po kostki, a ja wiem, że tam jest głęboko, bo tam było przejście na plażę, zrobili taki pomost drewniany, który powódź zniosła. On stoi, my patrzymy, i on mówi: „No, ratunku, przecież tonę” –z taką pretensją do nas. Myśmy zawiadomili jakiegoś ratownika, on podpłynął do niego, okazało się, że zostały słupki od tego pomostu, on się nadział na to kajakiem, przebił dziurę, ten kajak nabiera wody i dlatego on stanął na tym słupie, a my się dziwimy, [jak] on w środku wody stoi po kostki.

Ojciec pływał bardzo dobrze, uczył mnie nawet. Nie nauczyłam się między innymi dlatego, [że] jak zobaczyłam, że odpłynęłam parę kroków, to stawiałam w wodzie, bałam się pływać. Ci co nie umieli pływać, nie szli na głęboką wodę i nie tonęli, a tonęli pływacy. Mój ojciec też kiedyś o mało nie utonął, bo przecież z sercem miał problemy, o czym nie wiedział, zaczął pływać i zrobiło mu się słabo w wodzie. Pływał tu, gdzie statki, bo tam jest głęboko i dobrze się pływa, wypłynął dalej, próbuje wrócić i co próbuje grindować, ciągle Wisła głęboko. Jakiś pan stał na brzegu i zobaczył, że ten człowiek walczy o życie. Wyciągnął laskę, podał mu i podciągnął go metr, on stanął do kolan w wodzie, taki brzeg był stromy. Uratował mu życie, bo by się utopił. I tak topili się właśnie dobrzy pływacy.

Religia w domu

Rodzice byli ateistami, tylko babcia była wierząca, ortodoksyjna, chodziła w peruczce i opowiadała nam, że jak wyszła za męża, to miała warkocze do ziemi. Po ślubie jak by obcięli, to są do wyrzucenia, bo już nie można używać, [więc je] odcięła przed ślubem i z jednych warkoczy miała trzy peruki na głowę. Takie włosy miała. Ja ją pamiętam zawsze w peruczce. Jak kładła się do łóżka, to zdejmowała, ale wtedy zakładała chustkę na głowę, nie chodziła z gołą głową, bo mężatki nawet w domu nie chodzą z gołą głową. Dziewczynki mogą, ale w momencie, kiedy wychodzi [się] za męża, [trzeba zakrywać głowę], tak jak dawniej był czepiec na głowach.

Ojciec był ateistą i nie chodził [do synagogi]. Raz byłam z [babcią], ale mi się nie spodobało – kobiety siedzą z boku, nic nie widzą, tylko słuchają. [Obecnie] jak się idzie do synagogi, to już kobiety siadają razem, tylko bardziej z tyłu.

[Pod względem stosunku do religii rodzice] na pewno byli awangardowi. I to jest ciekawa rzecz, że zarówno matka, jak i ojciec nie byli wykształceni, nie uczyli się w normalnych szkołach, ojciec w religijnych, a matka za wcześnie poszła do pracy, ale jednak czytali dużo, i książek, i gazet. To jacy są rodzice, rzutuje na dzieci – mieli wrodzoną inteligencję, byli ludźmi przede wszystkim życzliwymi, dobrymi i to się przekazuje rodzinie. W naszym domu lubili ludzie przebywać, bo była jakaś dobra aura tego miejsca, w moim mieszkaniu też lubili ludzie przebywać, u [moich córek] też.

Babcia nie ingerowała [w sposób życia rodziców]. Ona jak coś robiła, to starała się robić to w miarę koszernie, soliła mięso, piekła wątróbki, które później były twarde jak podeszwa, ale jednocześnie dawała [mi] na przykład dwadzieścia groszy, bo wiedziała, że idę do szkoły z suchą bułką, „To kup sobie boczku”, który jest trefny, ale wiedziała, że ja lubię. Ona była ortodoksyjną żydówką. Piekła doskonałe chałki i ja umiałam pleść z sześciu [pasków], ale zapomniałam przez te lata jak to się robi. Poza tym rybę robimy klasycznie po żydowsku, z tym że ani rodzyneków, ani migdałów u nas się w domu nie dodawało i ja nie dodaję, ale musi być słodka, pieprzna i słona, bo inaczej to nie jest ryba. Córki uczą się jak robić.

[W domu rodzinnym] na pewno były obecne święta. Bo święta to są święta i

niezależnie od tego, czy jestem wierząca, czy nie, dlaczego mam nie obchodzić świąt. Tak samo zawsze w sobotę była ryba. Już w piątkowy wieczór ta ryba była. I ja to przestrzegałam, póki mąż i ojciec żyli, potem przestałam. Jak są moje urodziny, jak idę do dzieci na wigilię, to wtedy robię tą rybę już dla całej rodziny.

Kiedy był u Żydów post, nie wolno jeść ani pić całą dobę, tylko chorzy i dzieci mogą od tego odstąpić, to do nas przychodzili wszyscy nasi znajomi, którzy w domu jeść nie mogli. U nas się jadło. Babcia pościła, a myśmy jedli.

Są pewne święta związane z pewnym daniem: hamantaszen na Purim, na Chanukę co innego, na Zielone Święto musiał być sernik. Każde święto miało swoje danie.

Czulent

U nas się zawsze robiło czulent w domu, nie szłam do piekarza, nie musiałam, dlatego że w domu był piec, zwykły kaflowy piec, który miał duchówkę w środku i tam jak się napaliło i wstawiło ten czulent, to on na drugi dzień był gorący i miał kolor, jaki powinien mieć. Tylko że każdy czulent jest inny. U nas w domu się robiło klasycznie – z kartofli, cebuli oczywiście, soli, pieprzu i kiszki wołowej. Kiszki wołową kupowało się na metry w jatkach żydowskich, one były oczyszczone, ale z łojem, łój nie był zdjęty. I potem te oczyszczone, wyskrobane, czyste, pachnące kiszki zszywa się i nadziewa bułką, solą i pieprzem, ale nic się więcej nie dodaje i się odwraca tym łojem do środka. I to się kładzie na wierzchu, na tych kartoflach. A potem ten garnek, który musi być żeliwny, dobry garnek, zamyka się przykrywką, okręca się szmatami, okręca się papierem z wierzchu, żeby to dobrze się trzymało, żeby para nie ulotniła się, ten tłuszcz ścieka na te kartofle i one się rumienią przez dobę, co siedzą w piecu. Wyjmuje się pachnącą, chrupiącą kiskę, która bardzo sycąca jest, bo to jest z łojem, i te kartofle też są pyszne. Natomiast będąc w Warszawie, nauczyłam się od szwagierki, że się robi z pęczakiem i z fasolą „Jasiem”. Teraz można kupić fasolę już ugotowaną i wylać tą wodę, ale można ugotować, to ja dogotuję wtedy fasolę oddzielnie. Do pęczaku dodaję wołowego mięsa, kupuję tłusty szponder, nie byle jaki, w sklepie są zachwyceni, bo ja biorę kilo szpondru tłustego, zabieram im, co ludzie nie chcą kupić, to się kroi na kawałki, te kostki ile mogę to obskrobię, resztę też dokładam. Pęczak podgotuję tak, żeby nie był suchy, ale wchłonął wodę, potem dodaję surowe obrane kartofle, pokrojone w grube, duże kawałki i to się miesza i jeszcze dosala, bo to będzie mało słone. Dobrze trzeba wymieszać i tak samo się przykrywa i wstawia do piecyka. Pierwszego dnia to siedzi parę godzin, drugiego dnia cały dzień od rana, bo na noc wyłączam gaz, a trzeciego dnia, jak dzieci przychodzą, to jeszcze pół dnia siedzi w piecu. Podkładałam alufolię pod brytfankę, żeby nie przypalało się dno, bo wtedy potrafi połowa przywrzeć, mały gaz i to stoi. A potem się wyjmują takie gorące, brązowe danie.

Pulpety z mąką macową

Mąkę macową dodaję do wszystkiego, do kotletów też. Mierzy się na jedną osobę

jedno jajko, do tego się bierze trzy łyżki wody i trzy łyżki mąki macowej, przesmażam cebulkę ze smalcem, jak nie mam drobiowego smalcu, to daję słoninę, koniecznie musi być, żeby to pachnące było, musi być ta cebulka przesmażona, dodaję odrobinę sody oczyszczonej, żeby nie były takie twarde, bo w zasadzie się nie dodaje, ale to są bardzo twarde pulpety. To się wymiesza dokładnie, poczeka chwilę, ta mąka tak nasiąka, że się robi to danie ściśle i potem się robi pulpeciki nieduże, gotuje w osolonej wodzie około piętnastu-dwudziestu minut. Po piętnastu minutach jak przekroję pulpet i w środku widzę, że jest ugotowany, to już wyjmuję. To się zalewa rosołem i to jest pyszne danie wielkanocne, sycące i bardzo dobre.

Gęsi smalec

Wątróbkę się u nas sieka z jajkiem i cebulką, dodaje się oczywiście smalec drobiowy, gęsi smalec jest najczęściej podawany, ale kurzy też. Kamienne garnki z tym smalcem gęsim od jesieni stoją całą zimę i nie psują się. I to nie jest smażone z jabłkiem czy z czym, to by nie stało, to jest z cebulką zasmażane. U rzeźników żydowskich można było kupić całą gęś, ale wtedy to było strasznie tłuste jak się piekło, więc się zdejmowało skórę, tą skórę się topiło, bo ze skóry są dobre skwarki, tój się roztopia, ale nie puszcza skwarek. Tą skórę się kroїło w kawałeczki drobne i się na małym ogniu rozpuszczało. I jak już lekko zaczęły nabierać koloru te skwarki, to się dodaje cebulę. [Można] dodać całą cebulę nadciętą, żeby ona się rumieniła, [później się] wyciąga cebulę i już nie ma jej w smalcu, tylko zapach zostaje, a można ją pokroić i po prostu zostawić w tym. Ten tłuszcz stał u nas w piwnicy całą zimę, jeszcze do lata się jadło. Bardzo lubiłam z chlebem taki smalec gęsi.

Gęś przeważnie się doprawia czosnkiem. W ogóle w żydowskiej kuchni dużo jest czosnku, prawie w każdej potrawie.

Maca

Macę kupowało się gotową, fabryczną, to jest ta cienka maca. [Ta którą] ręcznie wałkowano, to była grubsza maca. Ta była maca do chrupania właściwie, a tamta była do smażenia, bo tak zwane macebraj się robi z macy. Moczy się macę pod wodą bieżącą, potem się na kawałeczki połamie, smaży się na smalcu z cebulką, jak już zmięknie na tym tłuszczu ta maca, nie rumieni się jej, tylko się obtoczy w tym tłuszczu i będzie gorące, wrzuca się jajko, soli się do smaku oczywiście, można pieprzu dodać i z jajkiem się przesmaża – to się nazywa po niemiecku Matzenbrei. Ja do tego lubię kakao, ale to nie jest powiedziane, że musi być, może być kawa, herbata raczej nie. Bardzo sycące, bardzo dobre danie.

[Skład macy to] najlepszy gatunek mąki i woda, nie ma żadnych dodatków. Jak się wyrabia dobrze, to ona ma powietrze w środku. Musi być dobrze wyrobiona. Maszynowa jest bardzo cienka. Ta ręczna była większa, takie okrągłe placki, i to było grubsze, do różnych dań się dodaje. Można tą macę jeść z rosołem, pokruszyć kawałki do środka i jeść.

Nieraz moja mama [robiła] jak francuskie grzanki, nie smażyła macebraj, tylko moczyła w wodzie, a potem w jajku i usmażyła, to ma trochę inny smak. Z macowej mąki się robi placuszki, dodając jajko, dodając trochę sody oczyszczonej, dodając trochę spirytusu czy octu, żeby to nie nasiąkało tłuszczem. Robi się pianę z tego jajka i się smaży placuszki, można na słodko, można na słono.

Cymes

Cymes to jest marchewka z miodem, z cynamonem, z goździkami. Gotuje [się] marchewkę, pokrojoną w kostkę, nie sładzi cukrem, tylko miodem, dodaje do gotowania rodzyнки, cynamon, żeby to pachniało ładnie. Po polsku się mówi: „To jest cymes”. Cymes to jest marchewka gotowana na słodko.

Zasady koszerności

U Żydów ryby są daniem tak zwanym parowym [właściwie: parewe, parwe], czyli ani to mięsne, ani to mleczne. Ryby można jeść po wszystkim i przed wszystkim. Natomiast nie wolno mieszać mlecznych dań z mięsnymi. Po mlecznym – u ortodoksyjnych Żydów, u nas się nie przestrzegało tego – trzeba czekać pół godziny nim się zje mięsne, ale po mięsnym dwie godziny, więc to jest różnica. Pewnych rzeczy się u nas nie łączyło.

Kugel

Jest na słodko gotowany makaron, ryż, kasza, kartofle – na słodko z owocami. Powiedzmy, kartofle się od razu gotuje, dużo tłuszczu drobiowego, dodaje się tłuszcz, bo dania narodowe są wszystkie tłuste, dodaje się do tego, powiedzmy, śliwek i to się sładzi; jak to się wszystko upruży i kartofle i śliwki są miękkie, śliwki bez pestek oczywiście, to jest kugel. Jak się gotuje makaron, dodaje się jajka do makaronu, żeby nie rozpadał się, przekłada się owocami i się zapieka. Ryż tak samo – gotuje się ryż na sypko, dodaje się jajka, dodaje się rodzyнки, dodaje się jakieś owoce, żeby było słodkie dosyć cukru i się zapieka; i to są ciastka ryżowe, bardzo słodkie, bardzo dobre – to jest kugel. Tak samo się gotuje z czego innego. To też jest narodowe danie żydowskie.

Żydowskie potrawy rybne

Ryba musi być słodka i ostra, bo inaczej to nie jest ryba. U nas się gotuje rybę tak, że się włoszczyznę kroi, od razu się z tą włoszczyzną gotuje. Rybę gotuje się dwie godziny i tu nieważne, czy to jest faszzerowane, czy nie. Dwie godziny.

Żydowskim rarytasem jest głowa karpia. Skrzela się wyciąga, dlatego, że oskrzela mogą pachnieć błotem, ale oczu wcale nie musi się wyciągnąć, bo się ich nie je i tak. A potem się objada tą głowę, tylko jeśli [głowy się] nie będzie gotować dwie godziny, to ona pachnie surowizną.

Inne potrawy

Moczyło się u nas chałkę czy bułkę, jak zostało, smażyło się francuskie grzanki, z tym że ja nigdy nie jadłam tego z cukrem, mnie to smakowało bez cukru.

Mama robiła na przykład ciasto – nie wiem, czy to była sama mąka, czy coś do tego dochodziło, to nie było słodzone – kroїła jak leniwe pierożki, bardzo cienkie, ale ona to smażyła jak frytki w głębokim oleju, [podawała] do rosółu, to było chrupiące i pyszne. Ja nie wiem, czy to było żydowskie danie, czy nie, trudno mi powiedzieć.

Tak samo się u nas robiło fasolę „Jasia”, dodawało się do tego smalec, jako przystawka do obiadu. Śledź był przystawką, zwykły śledź, ale trzeba było pomoczyć dosyć długo, parę godzin, bo to było słone, a potem się kroїło i w olej dawało, z cebulką można było zrobić.

Córka kohena

Według żydowskiej religii ja jestem córką kohena – kohen to jest kapłan – ja byłam podwójnie, bo moja matka była córką kohena i ja byłam córką kohena. Jak to jest, że religia żydowska, nawet u niewierzących, przez tyle tysięcy lat wie, który syn się urodził z kohena. Kohen to jest taki znak – gdybym bardzo chciała, to na grobie ojca powinnam wyrysować te ręce, bo był kohenem. I mi powiedział zupełnie niedawno wykładowca, wierzący Żyd, który mówił o religii żydowskiej, że jako córka kohena mogę udzielać błogosławieństwa, o tym nie wiedziałam. Ale ja już [tego] nie przekazuję, to mężczyźni. Tak jak narodowość idzie po matce u Żydów, tak religia, czyli to, czy on jest kohenem czy lewitą, idzie po ojcu. Moje córki są Żydówkami, są Żydówkami z ojca i matki, ale córka mojej córki też jest Żydówką, bo po matce jest Żydówką.

Jidysz

Ja byłam z Lublina, a w Lublinie się mówiło inaczej i zmiękczało się literę „e”, wychodziło na „ej”. Jak było „ej” – w wileńskim się tak wymawia – u nas się mówiło zwyczajnie „aj”. Cały szereg wyrażeń był inny. Teraz to szło przez Izrael, doszło jeszcze więcej hebraizmów. Ja hebrajski przeczytałam wtedy, kiedy to jest w potocznej wymowie, wiem, o co chodzi, natomiast jeśli chodzi o hebrajski, to ja nie znam i czasem gubię wątek, jak jest dużo hebrajszczyzny. Mój ojciec był bundowcem, ja też nie byłam syjonistką. Uważam, że syjonizm, który od początku propagował hebrajski, zaprzepaścił ogromną kulturę Żydów aszkenazyjskich, zaprzepaścił całą literaturę żydowską, oni teraz tłumaczą – to nie jest to samo.

Bohaterstwo Polaków ratujących Żydów

Izraelscy Żydzi, ci Swardowie, którzy żyli wśród Arabów i żyli z nimi zgodnie, z początku uważali polskich Żydów za coś gorszego, bo jak mógł Żyd się poddać, nie walczyć, tylko ginąć? Oni nie biorą specyfiki kraju i wszystkiego, co tu się działo. Mało było bohaterów. Ja nie winię Polaków, dużo Polaków pomagało Żydom, ale jak może

być [dużo bohaterów], jeśli wiadomo było, że kara śmierci jest nie tylko dla niego, ale dla całej rodziny – kto się decydował, musiał być bohaterem. Moja przyszywana szwagierka, Władysława Jasińska, miała order Sprawiedliwych wśród Narodów Świata – przecież cała jej rodzina wiedziała, kogo ona ratuje, nikt nie poszedł, nikt nie powiedział, trzeba szanować całą jej rodzinę. Trzeba było w Polsce być bohaterem, takich bohaterów nie może być za dużo. I tak jest dosyć dużo. Mnie pytają, czy przed wojną był antysemityzm, czy dzisiaj jest antysemityzm. Jest i był.

Komuniści w przedwojennej Polsce

Z komunizmem przed wojną było tak: wiadomo jacy są komuniści i jak radykalnie przez rewolucję chcą wszystko zmienić. Ojciec mój miał trochę ciągoty komunistyczne, ale ponieważ był tchórzem, bał się, to wołał nie być komunistą. Ale u nas do domu często u nas nocowali w tym małym mieszkaniu jacyś [ludzie], przyjeżdżali do Lublina i mieli adres, czy u nas mogą nocować i u nas nocowali. Jednego wołałam „Pan X”, bo on powiedział: „Moje dziecko, co z tego, że ci powiem nazwisko, jak to nie będzie moje”, więc on był dla mnie „Panem X”. Innych to nawet nie pamiętam, ale przecież oni byli uważani za nielegalną partię. Piłsudski, który na początku był pepesowcem, a potem, jak się śmieli w „Robotniku”, w tej gazecie PPS-u, że on wysiadł na przystanku Niepodległość, nie pojechał dalej z pepesowcami, ale jednak póki on żył, to było lepiej. Potem skończyła się ta demokracja, chociaż [wcześniej] może nie było za dużej. Ja nosiłam żałobę po Piłsudskim, co mama miała mi za złe, że w ogóle sobie czarną opaskę założyłam.

Hitlerowska przemoc wobec Żydów

Jakiś miesiąc po wejściu Niemców oni z dworca z pociągu wyciągnęli Żydów – w ogóle nie odróżniali z początku Żydów, ja nie wiem jakim cudem – rozebrali i ich pobili strasznie. Po Piłsudskim zaczął się ten faszyzm w Polsce rozrastać. Był taki młody [mężczyzna], on przyszedł na ten dworzec, mieszkał niedaleko, i zobaczył takiego nieprzytomnego, pobitego, gołego Żyda i, płacząc, zabrał go do domu, nie tak sobie wyobrażał walkę z Żydami. Nikt nie jest do końca zły i nikt nie jest do końca dobry, każdy ma w sobie obydwie cechy. Jak zobaczył tego zakrwawionego, pobitego i nieprzytomnego człowieka, to nie tak sobie to wyobrażał. On mówił o walce ekonomicznej, ale nie w taki sposób.

Singer z Lublina

W Lublinie był taki mężczyzna mądry, nazywał się Singer. Ożenił się z Polką i przechrzcił się przed wojną. [Po przechrzczeniu u] ortodoksyjnych Żydów to się siedzi jak po śmierci bliskiego, przez siedem dni. Chociaż byliśmy niewierzącą rodziną, to ja do dziś uważam, że odejście od wiary jest dziwne, bo jeśli jesteśmy ludźmi wierzącymi, to bóg jest jeden, to co za różnica jak się zwie? A jeśli nie jesteśmy wierzącymi, to po co zmieniać wiarę? Tu jest inna sprawa – on się zakochał i ona nie

chciała zmienić wiary na judaistyczną, [więc] on zmienił na chrześcijańską. Miał później z nią dwójkę dzieci, o ile wiem. Znał perfektnie język żydowski i brał udział [w] różnych zebraniach – socjalistów, bundystów i innych – i donosicielem był, więc najbardziej był nie lubiany jako donosiciel. On był przyjęty przez tę polską rodzinę swojej żony bardzo dobrze. Jak zobaczył, co się dzieje, to poszedł do getta, bał się o rodzinę, że jeśli ktoś powie, że on jest Żydem, to aresztują dzieci też. Ona była przeciwna temu, jej rodzina też, dlaczego on chce iść do getta. Ale on się zgodził i zginął oczywiście. Czyli to jest trochę jak z Tuwimem. Tuwim cały czas nie był Żydem, ale jak zaczęły się historie, to on powiedział: „My, Żydzi polscy”. Moja córka poczuła się Żydówką w '68 roku, bo [dotąd] nie kładła takiego nacisku na to, kim jest. Kiedy coś się dzieje, [w człowieku] nagle odzywa się jego naród. Ja zwróciłam honor temu Singerowi, jak się dowiedziałam, co on zrobił. On to zrobił, ratując swoją żonę i dzieci, bo zawsze się jakaś szuja znajdzie, która coś powtórzy.

[Mój] daleki pociotek o nazwisku Rot przeżył wojnę u polskiej dziewczyny i potem się ożenił z nią, zmienił nazwisko na Rotkowski. Nie wiem, czy on sam nie chciał utrzymywać kontaktów, czy jemu się zdawało, że ja jakoś nie patrzę na niego tak [przychylnie]. On zmienił wiarę, miał dzieci, ale nie wiem, czy dzieci wiedziały, że ojciec jest Żydem.

Wyjazd ojca do Związku Radzieckiego i dołączenie do niego w Brześciu

Ojciec mój wyjechał na żądanie matki z domu 9 września [1939 r.], [po tym], kiedy było straszne bombardowanie Lublina. Wtedy magistrat był zburzony tak, że potem jak szłam w kierunku Lubartowskiej, przechodziłam koło magistratu, to ludzie wynosili szare worki na ciężarówkę, tyle ludzi zginęło, bo trzasnęło prosto w magistrat. Wtedy moja matka powiedziała [ojcu], że Niemcy są coraz bliżej: „Musiś uciekać. – Ojciec chorował przed wojną na nerki, był w szpitalu. – Ty jesteś słabym człowiekiem. Jak cię wezmą na zakładnika, to zginiesz”. Ojciec uważał, że on w domu rządzi, a my, córki, wiedziałyśmy, że w spodniach chodzi mama, że ona przeprowadza swoje [racje]. Tak ja się nauczyłam przeprowadzać z mężem. Nie: w tej chwili już, bo ja tak chcę, tylko wtedy, kiedy jest spokojniejsza druga strona i wtedy wyklarować, że tak jest lepiej. W domu chodziła w spodniach moja mama i ona zadecydowała, że ojciec ucieka. I ojciec właściwie wyszedł tak jak stał, nie wiem czy cokolwiek na zmianę zabrał, bieliznę może, [ale] ani narzędzi zegarmistrzowskich nie zabrał, nic. [Wyjechał] za Bug, na Wschód. Nie mieliśmy [tam żadnych kontaktów]. Wyszła ich grupa.

Ojciec przed samą wojną z Bundu wszedł jako radny do magistratu i potem jak myśmy [z ojcem] byli [w Związku Radzieckim], to znajomi pisali, że gdyby przyjechał, to by był w Judenracie jako radny, miałby szczęście – zginąłby później.

Ojciec wyjechał i przepadł. Wszyscy po pewnym czasie pisali jakieś pismo, ojciec nic nie napisał, nie wiadomo [było], czy jest, gdzie jest – nic. I któregoś dnia moja mama o szóstej rano wyciągnęła mnie z łóżka i powiedziała: „Ubierz się i jedź do

komendantury – na Chopina czy gdzieś była komendantura – i weź szajnung – zaświadczenie – że jedziesz do granicy”. Ja nawet nie chciałam, bo ja byłam bardziej związana z matką niż ojcem, nie miałam ochoty, nalegałam, że siostra starsza, ona musi iść. „Ty widzisz – mówi [matka] – siostra nie wychodzi, ona nie pójdzie i ona nie będzie rozmawiać z Niemcami, ona się boi, nie nadaje się. Musisz jechać ty”. [Po załatwieniu zaświadczenia] wyjechałam z zupełnie obcymi ludźmi, furmanką jechaliśmy. I moja matka, żegnając się ze mną, powiedziała: „Żegnamy się może na zawsze. – Zobaczyła moją twarz i powiedziała: – W każdym razie na długie lata” – wycofała się z tego. Pojechaliśmy na północny wschód w kierunku Bugu, bo trzeba było Bug przepłynąć. W grupie ludzi ja byłam najmłodsza z ich wszystkich. Musiałam zabrać dla ojca walizczkę z jego instrumentami, z częściami i tak dalej, żeby miał czym pracować tam, trochę zimowego ubioru dla niego, palto, taką jesionkę miał zrobioną tuż przed wojną, jeszcze [moja córka] później kurtkę nosiła z tego po wojnie, tyle przetrwało, dobra wełna kiedyś była. [Wiozłam też] buty, które później gdzieś zaginęły, ktoś ukradł. Dojechaliśmy tam wieczorem i ci przewoźnicy – oni przyjeżdżali do Lublina i powiedzieli, że przeprowadzą, oni to robili zawodowo – kazali od razu napisać list, że dziękuję, że dobrze zrobili. Powiedziałam: „Nie napiszę listu, póki nie przejdę. Jak ja mogę napisać list z tej strony? Ja wiem czy wy przeprowadzicie nas?”. A głupi ludzie pisali. Oni nas wyprowadzili wtedy w nocy na komendanturę niemiecką i tylko ja uratowałam swoje i ojca rzeczy i jeszcze komuś walizkę z rzeczami, dlatego że miałam zaświadczenie do granicy. A oni nie mieli żadnego, to ich rozebrali do rosołu, wszystko sprawdzali, potrafili nawet kobietę sprawdzać ginekologicznie, czy nie mają czegoś w środku, wszystko ludziom zabrali co mieli i puścili. Już było późno i ci powiedzieli, że teraz nie mogą nas przeprowadzić, bo z tamtej strony straż jest, która nas nie przepuści, więc nas zawieźli z powrotem do wioski, żebyśmy przenocowali. Dopiero na drugi dzień nas wyprowadzili wieczorem. Przeprowadzili nas łódką przez Bug i wracają po następnych ludzi. Więcej się nie pokazali i myśmy całą noc się tłukli po tym lesie. I co ja mówiłam, że my źle chodzimy, bo mam orientację przestrzenną, w lesie umiałam się znaleźć, chociaż było ciemno i deszczowo, był listopad, padał deszcz, to oni mówili: „Smarkata nie będzie mówić” i ciągle wychodzili na Bug z powrotem – zamiast iść w głąb, to ciągle na Bug. Mieliśmy szczęście, że w nocy dużo połapali Rosjanie tych uciekinierów i nie było na granicy strażników. Myśmy szli na Brześć, znaczy mieliśmy zamiar, to było trochę bardziej na południe od Brześcia. Jak zaczęło się rozwidniać, to myśmy szli z jednej puli lasem, a ci Rosjanie szli polem na granicę, myśmy się z nimi tak rozminęli, że oni nas nie zobaczyli, bo myśmy byli w lesie, a było trochę ponuro. I dopiero wtedy, jak zaczęło się rozwidniać, doszliśmy do jakiejś wioski, która była koło [stacji] kolejowej. I tam była głuchoniema dziewczynka, doskonale wiedziała, że my uciekamy i ciągle nas nabierała, że idą Rosjanie, żebyśmy się bali. Tam przenocowaliśmy i rano pojechałam do Brześcia. I to jest ciekawe – wyjechałam, nie wiedząc, gdzie ojciec, czy go znajdę w ogóle, gdzie go mam szukać, jak go mam szukać wśród obcych ludzi – wyszłam z dworca i

spotkałam znajomego, który razem z ojcem uciekał i który powiedział: „Ojciec jest tutaj. Pracuje tu, w Brześciu, u jakiegoś zegarmistrza, bo nie ma swoich instrumentów, więc musi pracować u kogoś” i ja za godzinę już byłam z ojcem. Ojciec się bardzo ucieszył, że mnie zobaczył, mówił, że przeczuwał to, że ktoś w tę pogodę niedobłą tam gdzieś chodzi, chociaż ja z ojcem miałam nie taki kontakt telepatyczny jak z matką. Potem już mógł pracować na własną rękę, otworzył sobie warsztat, bo miał te narzędzia. A ja zaczęłam w Brześciu chodzić do szkoły żydowskiej i nawet na koniec roku dostałam nagrodę – książkę o dzieciństwie Stalina. Była taka historia, że przyjechała komisja w ramach łączenia rodzin i myśmy chcieli poprosić, żeby matka i siostra mogły przyjechać do nas – Niemcy nie chcieli przepuścić, bo urodzone są w Lublinie, Rosjanie powiedzieli, że żonę [ojciec] zawsze może znaleźć, dzieci jeszcze może mieć. Jakiś obcy człowiek przyszedł i proponował mojej matce ślub fikcyjny, żeby ona mogła przejechać przez granicę, ale się nie zgodziła, zresztą nie wiem, czy siostrę by przepuścili. Wiem, że ojciec bardzo chciał wrócić, ale matka [zdecydowała, że] w żadnym wypadku [nie wracamy]. I nie wróciliśmy.

Zesłanie do Radzieckiej Republiki Komi

[Sowieci] nam zaproponowali, żebyśmy wzięli paszporty, ale myśmy się oburzyli: „Jak to? Uciekinier żeby brał paszport? My jesteśmy bieżąciami – po rosyjsku – i jesteśmy obywatelami Polski, jak paszport możemy wziąć radziecki?”. Do Kazachstanu wjechali ci, co wzięli paszporty, natomiast myśmy nie wzięli, to latem, w czerwcu, postawili pociągi z bydłowymi wagonami – ja miałam znajomego chłopaka, który był bardzo zakochany i ciągle chciał, żebym wzięła paszport i pojechała z nim w głąb Rosji, a ja jeszcze byłam związana z tym chłopakiem z Lublina, chociaż nie wiem, czy byłam zakochana, czy po prostu z przyzwyczajenia tyle lat chodziliśmy, powiedziałam, że my paszportu nie bierzemy, to on przyleciał, powiedział: „Pociągi stoją, będą was wywozić”. I tak było. Przyszli do nas w nocy, wojsko przyszło, taki młody chłopak, pamiętam jego oczy pełne litości, jakby on wiedział, co się z nami będzie działo, chodził za mną i pilnował, nawet garnek z miodem żebym zabrała, wszystko co moje: „To twoje, to twoje. Zabieraj”. Wsadzili nas do tych bydłowych wagonów, tam były półki zrobione, ludzie leżeli na dole i na górze, i zrobili taki otworek, żeby się załatwiać w wagonie – jak się załatwiać, jak wszyscy ludzie patrzą? I wywieźli nas. Jechaliśmy miesiąc. Nocami staliśmy gdzieś w polu i wtedy przynosili nam jakieś jedzenie, pamiętam te zupy pokrzywowe i inne rzeczy, których w życiu nie jadłam, ale coś trzeba było zjeść. Myśmy od razu rozmontowali tę ubikację; jak oni otwierali drzwi, żeby nas wypuścić, te wszystkie śruby żeśmy pogubili i w końcu jechaliśmy z otwartymi drzwiami w tych wagonach. W nocy zatrzymywali się gdzieś w polu, żebyśmy wyszli, bo nie mamy ubikacji, a tak to się jechało cały czas. I wywieźli nas nad rzekę, która się nazywa Wyczegda. Wsiedliśmy do takiej barki, która była pusta w środku, na dole nas umieścili, na górze była jakaś ubikacja, stercząca nad wodą, żeby się załatwiać do wody. Tam na dole myśmy siedzieli prawie miesiąc nim

nas dowieźli na drugą stronę gdzieś do tajgi. Potem musieliśmy jeszcze przespacerować się w głąb tej tajgi ze dwadzieścia kilometrów i wylądowaliśmy w takim posiołku, kilka domów w lesie, a tajga była tak gęsta, że o sto metrów od tego posiołka to się nie wiedziało, że się mija posiołek i można było przejść obok. Tam zaczęliśmy pracować w lesie. Trzeba przyznać, że zbadali starszych ludzi, czyli mój ojciec był badany, chociaż wtedy miał niecałe pięćdziesiąt lat, i oni stwierdzili u ojca chorobę serca, nigdy nie był [z tym] u lekarza i nie wiedział, ale był palaczem. Powiedzieli, że on nie może iść do lasu pracować, że on będzie rąbał drewno do tych baraków, opalało się drewnem przecież. To jest łatwa robota – piłować te kłocce i rozrąbać. To jest [robota] dla kobiet i dla chorych. Więc ja szłam do lasu, a ojciec rąbał te drwa. Mieszkaliśmy w baraku, [był] jeden ogromny pokój, gdzie dwadzieścia i więcej rodzin leżało pokotem, każdy miał jakieś słomiane wyrko i leżał. Ponieważ my z ojcem mieliśmy jedną kołdrę, jedną poduszkę, spaliśmy razem, co było robić. Jako kobieta nie rąbałam tych drzew, tylko konary obcinałam. Siekierką, która była ostrzona co wieczór, więc była jak brzytwa. Przy gałęziach były piły, taką pilę z dwóch stron się łąpało, jeden z jednej strony, drugi z drugiej.

Klimat Komi i warunki życiowe zesłańców

Miejscowi o sobie mówili Zyrianie, ale my o nich Komi. „U nas – mówili – jest jedenaście miesięcy zimy, a potem ciągle lato”, mniej więcej tak było, jeszcze w maju leżał głęboki śnieg, jeszcze w maju w nocy zamarzało wszystko i mogło być do minus dwudziestu, ale w dzień już topniało. Śniegu było bardzo dużo, jak zaczęło padać we wrześniu, to aż do wiosny nie topniało, tam nie ma roztopów, czegoś takiego jak odwilż, śnieg był taki głęboki, że jak zaczęły się ciepłe dni, trochę cieplejsze, zaczęło się robić jasno, to wtedy trochę ten śnieg odmarzał, potem zamarzał w nocy i rano można było wyjść do samych koron brzoź pościnać cienkie gałązki na miotёлki. Robiło się miotёлki, [które] miały wszechstronne zastosowanie. Póki to była miękka miotёлka, służyła do masażu w łaźni – obijało się całe ciało miotёлką, było świetnie, bardzo pobudzało krążenie. Jak się zrobił większy drapak, to się zamiatało tą miotёлką mieszkanie. A jak się zrobił już zupełny drapak, to się szorowało białe podłogi – te podłogi były zupełnie białe, bo się szorowało miotёлką i piaskiem, można było położyć się w białej sukni i nic sobie nie zrobić. Póki myśmy mieszkali w tych posiołkach, to byliśmy w takim ogólnym [pomieszczeniu]. Potem przeprowadziliśmy się do innego [budynku], gdzie były dwa pokoiki, w jednym byłam ja z ojcem, w drugim, trochę większym, była rodzina z synem. I tego syna bardzo mi chciała naraić [jego] matka, że to taki mądry chłopak, inteligentny, on studiował już przed wojną.

Ja tam uchodziłam za młodszą o trzy lata. Miałam legitymację ubezpieczeniową, której nie oddałam Rosjanom, a oni nie sądzili, że ja mam jakiś dokument, więc ja tam zamieniłam, uważając, że atrament był podobny, jedynekę na czwórkę – wystarczyło małą kreseczkę dostawić, żeby z jedynekę się zrobiła czwórka i ja zamiast '21 roku, byłam urodzona '24, czyli uchodziłam za młodszą niż w rzeczywistości, bo ja

się bałam na początku, że mnie rozdzielią z ojcem, że do obozów pójdziemy, a tak jeszcze jestem niedorośłą. I dlatego myśmy wylądowali w tym posiołku.

Potem zaczęła się działalność Wandy Wasilewskiej i myśmy wyszli z tej tajgi do wioski, wioska nazywała się Ajkino. Tam już mieszkaliśmy bardziej po ludzku, bo mieliśmy w takim domku jeden pokój, który był przegrodzony, była taka część przegrodzona i tam się wstawiło łóżko, tam stała koza, która grzała. To były drewniane budynki i było ciepło w tych domkach. [Był] mały przedpokoik, malutki, może metr kwadratowy, [dzięki któremu] do mieszkania nie nanosiło się bezpośrednio śniegu.

Wiosną jak zaczynał topnieć śnieg, to te strumyki, bardzo małe, które płynęły głęboko, jakieś parę metrów w głębi, bo to wieczna zmarzlina jest, jakby ta woda rozmrażała i coraz głębiej ta rzeczka płynęła, to wypełniało się wodą do samej góry. I wtedy trzeba było zacząć spławiać drzewo, bo później to wylewało do lasu i już nie można było spławiać. Ja już wtedy nie pracowałam w lesie, tylko robiłam się jakby taką służącą w biurze – sprzątałam, myłam, smażyłam im rybę, jak mieli, nauczyłam się, że dorsza się nie czyści do smażenia, bo się rozpuszczają łuski, przy okazji lepiej coś jadłam, bo mnie też częstowali. Tam przez krótkie lato są białe noce, jest cudownie, o dziesiątej zachodziło słońce prawie na północy, nisko nad horyzontem idzie, a o dwunastą już był dzień, więc ta noc to był wczesny zmierzch, było widno. Jak były większe wybuchy na słońcu i zaczęły się te zorze polarne, to było coś pięknego, taka falująca firanka, która w jednym momencie ma jeden kolor, w następnym inny; to nie jest tęcza, to pojedyncze kolory po kolei.

Do '41 roku mieliśmy kontakt listowny [z Polską]. Przychodziły listy i ja pisałam listy. Matka mi pisała, zresztą już z getta, że dobrze się czują – przecież nie mogła wszystkiego pisać – tylko niedobry wujek Lejchem wszystko im zabiera, czyli kawałek chleba tylko mają, więcej nic.

Byliśmy świadomi, że jesteśmy co najmniej dwa tysiące kilometrów [od Polski]. Tylko tam [była] taka sprawa, że kogo oni zsyłają, ten już nie wraca.

Tajga

Jak się szło do lasu, to nie wiadomo było, gdzie jest wschód, zachód, gdzie się idzie. Ja się dobrze orientowałam, wiedziałam, że schodzę z tej przesieki w lewo to mam dalej, kawał drogi, jest Wyczegda, ta rzeka i słyszę statki, więc kieruję się tym, gdzie są statki; wiem, że zeszlą w tą stronę, to wrócić powinnam w tą stronę. Poza tym miałam pamięć wzrokową, widziałam, że ten krzew minęłam, to leżące drzewo minęłam i tak dalej.

Grzybów jest tam zatrzęsienie, bardzo łatwo się zbierało i przez to krótkie lato byłam syta nareszcie. Jagody były większe niż nasze borówki amerykańskie. Poziomki były wielkości małych truskawek i one śmiesznie rosły, bo było nie wiem czy metrowej średnicy takie oczko wodne, przecież tam podmarznięty teren, a dookoła poziomki. Jak wracałam do domu wieczorem, to zamykałam oczy i widziałam kolory tych jagód,

tych poziomek, łochynie też były, [one] wyglądają jak jagody, tylko [rosną na wyższych krzaczkach], są białe w środku, a nie ciemne jak jagoda, ale tego nie można dużo jeść, bo głowa boli, trzeba uważać.

Było tak, że kiedyś jedna młoda mężatka, dwudziestolatka, szła z koleżanką i znalazła pole malin, nie powiedziała gdzie, bo ona [je] sprzedawała, jak przynosiły, żeby zarobić sobie parę groszy. I któregoś dnia one poszły i przepadły, wieczór – teoretycznie wieczór, bo przecież nie ma wieczoru, ale słońce zachodzi – stanęły te miejscowe Rosjanki i krzyczały, hukały w las, że może usłyszą, ale w lesie głos się odbija od gałęzi i drzew i nie zawsze wiadomo, z której strony dochodzi ten głos. I one słyszały, tylko szły na głos w inną stronę. Wzięli robotników, zapłacili za trzy dniówki i ludzie szli i szukali, tyralierą, żeby się nie zgubić. Nie znaleźliśmy ich. Jedna była panną, druga mężatką, ten mąż wpadł w popłoch, pobiegł do najbliższej wsi, która była siedem kilometrów od nas i ściągnął jakiegoś chłopca z psem, to nie był myśliwski pies, to był pies jak pies, może i trochę szedł po śladach, w każdym razie wyprowadził ich w lesie [na pewne miejsce]. Tam ponieważ polowano dużo w lasach, miejscowi mieli broń i polowali, to były postawione takie baraczki małe, gdzie ludzie mogli nocować; ci co znali las, to wiedzieli, gdzie te baraczki są. I tam był taki zwyczaj, [że] jak ktoś miał czegoś w nadmiarze, co się nie psuło, mąki trochę, soli trochę, to zostawiał w tym baraczkach, bo może następny nie będzie miał. I oni doszli do takiego baraczku z tym psem i stwierdzili, że tu ktoś był, dlatego że sól jest rozsypana, czyli ktoś poznał, że „byliśmy tu”. Jeśli to są te dwie młode kobiety, to znaczy, [że] jeśli wyszły w lewo, to przepadną, dwieście kilometrów jest najbliższa miejscowość, po starych przesiekach jak będą szły, to nigdzie nie dojdą, drzewa są wysokie na tej przesiece i nie każdy wie, że jest na przesiece, natomiast jeśli pójdą w drugą stronę, to dojdą do wioski parę kilometrów i wtedy ktoś ich przywiezie wieczorem. I rzeczywiście wieczorem je przywieziono. Okazuje się, że jednej przysniła się matka nieżyjąca i powiedziała: „Idziecie w prawo, moje dzieci” i [wyszły] na wieś. [Miały] jeszcze ostatnie siły, bo to siódmy dzień już był. Jadły jagody, grzyby i inne rzeczy – musiały jeść to, co było w lesie. Dzięki temu przeżyły. I dzięki temu, że poszły w dobrą stronę. A one musiały minąć [naszą] miejscowość o sto metrów i nie wiedziały, nie słyszały krzyku, nie widziały.

Losy zesłańców w Komi

Kiedyś nam dali, brygadzie dziewcząt – trzy dziewczyny – [zadanie]: wzdłuż rzeczki, która idzie tam meandrami, będziemy wycinać wszystkie drzewa, najgrubsze niewiele szersze jak słoik. Toporki ostre, to możemy [wycinać]. Toporki nas nauczyli nosić za sobą, nigdy w rękę, bo jeśli się potknę i upadnę, to mogę sobie odciąć nogę, bo one co wieczór były ostrzone, bardzo ostre. I tam myśmy zaczęły wycinać te drzewa, bo oni chcieli tam mieć pastwisko. Trzeba było przejść przez tą rzeczkę, w jednym miejscu rzeczka miała sterczący korzeń do wody, a z drugiej strony prąd przyniósł gałązkę i myśmy pamiętały, że tą gałązkę trzeba ominąć, nie wolno stanąć na niej, bo

żeśmy tam wielokrotnie przemierzały tą rzeczkę. Któraś z dziewcząt poszła, nadepnęła na gałązkę i zapadła się w wodę. Chociaż ta woda jest płytka, to wiosną jest bardzo głęboka. Ona się złapała korzenia i wylazła, ale zgubiła siekierkę w wodzie – siekierka jest więcej warta niż człowiek – ona wylazi na górę, patrzymy, ma wysokie botki i z tych botków wycieka krew. Pomogliśmy jej wyjść, patrzymy, ona sobie wsadziła, padając, topór w nogę, wsadziła szczęśliwie, że ani kości, ani specjalnie dużego naczynia nie przecięła, ale krew cieknie, a do posiołku mamy parę kilometrów. Jak tu dojść? Jesteśmy jeszcze dwie dziewczyny – my jej nie uniesiemy, więc na razie żeśmy chusteczkami zawiązały, bo nie było czym zawiązać jej tej nogi, i powiedziały, że póki ona może chodzić, to chodzi z nami, wzięłyśmy ją pod ręce i szła z nami z powrotem. Ona mówi: „Ale siekierka”, „Siekierkę wyciągniemy następnego dnia, bo prąd jest mały, więc nie odpłynie, natomiast ty musisz iść, żeby ci to zaszyć czy coś z tym zrobić”. Potem żeśmy ją ciągnęły, prawie niosły, już zaczęło ją boleć, bo w pierwszej chwili to krew leci i nie czuje się bólu. Potem prawie miała sprawę – miesiąc była chora – że ona chyba sabotaż zrobiła, specjalnie się skaleczyła, żeby nie pracować.

Nasz znajomy z Lublina, nauczyciel, był tam z młodą żoną i bratem. Któregoś dnia zaczęła boleć [go] szczęka, ale on nie chciał zostawić żony samej, bo ona sobie nie da rady bez niego; jak się zdecydował, że musi jechać do lekarza, to był cały spuchnięty i miał wysoką gorączkę. Jak go zawieźli furmanką do najbliższej większej wioski, to on po dwóch dniach już nie żył, miał zakażenie krwi. To było ropne zapalenie okostnej, gdyby od razu poszedł, to by zrobili cięcie i wszystko byłoby dobrze. Ona została sama, a wiadomo jak jest u Żydów – jeśli brat jest, to brat się musi z nią ożenić, bo ona już była w ciąży. I brat się z nią ożenił. Inna rzecz, że to dziecko później straciła, ono było za duże i nie mogła go urodzić. Takie były losy ludzi. Jeden za drugim stał i ścinał gałęzie i tą ostrą siekierką ciachnął pół pośladka temu, co przed nim był – też chcieli ich oskarżyć o sabotaż, bo to jest niedopuszczalne.

Ja się tam nauczyłam palić. Nauczyłam się palić przez jeden wypadek. Nasz znajomy z Lublina któregoś dnia poszedł do ubikacji. Ubikacja to jest domek, podwyższenie takie i na wierzchu deska, jest dół, do tego dołu się trzeba załatwić. On poszedł do tej ubikacji, zamknął się, poderżnął sobie gardło, ale tak poderżnął, że aż wyszczerbił brzytwę o krtań. Nim ludzie weszli, go znaleźli, to on już nie żył, nie wiem czy by go [wcześniej] uratowali w ogóle. Żonie, młodej kobiecie, nie powiedział słowa, dlaczego. Ja to strasznie przeżyłam. Młody człowiek zostawił żonę. Potem ludzie powiedzieli, że to było dlatego, że jego chyba wciągnęli jako szpiega, żeby donosił na ludzi, a on tego nie chciał robić, to wołał się zabić – być może, żadnego pisma nie zostawił. Ja wtedy jak zaczęłam palić, to w ciągu paru minut wypaliłam całą paczkę papierosów. I zaczęłam palić. Ojciec mnie nauczył, że nie pali się w nocy ani na czczo rano, dopiero wtedy, kiedy coś zjem. Był to dobry sposób na odpoczynek, jak w lesie była pierekurka, można zapalić papierosa i usiąść na chwilę, a ten co nie pali, musi dalej

pracować. Byłam trochę złośliwa – jak myśmy siadali na jakimś leżącym drzewie, to tak długo się poprawiałam, przesuwałam, Rosjanin przesuwał się, przesuwał, aż spadł. Paliłam aż do powrotu do Polski, a w Polsce powiedziałam, [że] palić nie będę, nie wiedząc, że już byłam w początkach [ciąży] z moją córką.

W tym biurze, gdzie pracowałam, był taki Rosjanin, który bardzo źle chodził, trochę utykał, miał bardzo małe stopy – okazało się, że matkę coś przejechało, jak była z nim w ciąży i on miał odwrócone stopy do tyłu i do kilku lat w ogóle nie chodził, bo lekarze mówili, że operację odwrócenia stóp mogą zrobić jak będzie miał już stosunkowo większe, więc miał dziesięć lat, jak te stopy mu odwrócili, to się zrosło i chodził. On zawsze nam mówił, że my nie możemy narzekać, [bo] mamy gdzie mieszkać, a jego rodzinę wysłali na Syberię, zostawili w lesie i powiedzieli: „Wykopcie sobie ziemiankę, to będziecie nocować”, więc były gorsze warunki, że my mamy lepsze.

Pobyt w wiosce Ajkino w Komi

[Wanda Wasilewska] stworzyła Związek Patriotów Polskich i ona się postarała, żeby nas z tej wsi wypuścili. Myśmy wtedy wyjechali do Ajkina, to była jakby powiatowa wioska. Tam dostaliśmy dom, gdzie mieszkaliśmy i ojciec już zaczął pracować jako zegarmistrz. Ja z nim pracowałam razem, chociaż ojciec przed wojną nie chciał, żebym ja została zegarmistrzem. „To nie jest praca dla kobiet” – nie wiem dlaczego, nie jest fizycznie ciężka, natomiast czyścić zegarek, włożyć sprężynę to ja umiałam, nie umiałam skomplikowanych rzeczy robić, ale takie zwykłe potrafiłam, więc pracowałam z ojcem. Pracowaliśmy jak zwykle po dwanaście godzin, bo inaczej [tam się] nie pracowało. Tam już było tak: domy stoją tak jak w Komi, na wiecznej zmarzlinie, na wysokości prawie piętra, jeśli się ma świnie, to pod spodem się trzyma świnie, jeśli jest krowa, to tam jest obora dla krowy; nie może być dom nisko, bo by się zapadł w ziemię, jak grzeje piec, musiało być tam zimno. Na tym prawie pięterku był bardzo duży hol, gdzie się trzymało kapustę kiszoną, całe beczki z żurawiną, beczki z borówkami, pyszne były, ten murs tak zwany, ta woda z tych borówek, żeby pić, kiedy brakuje witamin zimą, świetna rzecz – wszystko smaczne jak się nie ma tego, prawda? Tam wisały te wszystkie miotłki, co się robiło z brzozy, tam też wisały grzyby, jeśli się zbierało, a grzybów było dosyć. Myśmy tam zamieszkali i właściwie życie się toczyło trochę lżejsze. To znaczy jak się szło coś jeść [do stołówki] – to tam było szczy i kasza, piszcza wasza, czyli kapuśniak z kwaśnej kapusty, więcej wody niż kapusty, oczywiście niemaszczony, bo nie było czym. Pierwszy raz widziałam owsiany pęczak, gotowało się na taką gęstą breję, łyżką zrobiony dołek i wlany olej – jakie to było dobre, jak się moczyło ten pęczak w tym oleju i się jadło. Potem zrobili nam przysługę – dali nam kawałek ziemi, to tak zwana calizna. Uczył mnie chłop polski, który tam był z nami, że na caliznę nie daje się nawozu, nie trzeba, więc ja tylko popiół drzewny podsypywałam. Dali nam dwadzieścia kilo kartofli do posadzenia, to ja posadziłam kartofli nie wiem czy

dziesięć kilo, resztę zjedliśmy. Obcinałam te miejsca w kartoflach, gdzie jest dużo oczek, to sadziłam i z tego wypuszczało pędy, a ponieważ to były tak zwane miczurinowskie odmiany, to z takiego jednego kawałka miałam cztery-pięć kartofli, które ważyły po kilogramie, ogromne. [Tam] kartofle sadi się na końcu czerwca, bo dopiero zaczyna się robić ciepło, natomiast w końcu sierpnia trzeba już wykopać, więc jak one tylko zdążyły wyrosnąć i przekwitnąć, to się obcinało nać i po dwóch dniach się wykopywało kartofle. I takie kartofle leżały całą zimę. [W tym dużym holu] była jeszcze taka deska do ubikacji, którą wszystko szło na dół, a że to zimą zamarzało to i tak nie śmierdziało. Natomiast z drugiej strony były dwa mieszkania, jeden większy pokój, gdzie był duży piec chlebowy i na tym przypiecku na górze leżało futro, tam leżał gospodarz, bardzo było dobrze, bo to było ciepło na przypiecku leżeć, a drugi pokój był malutki i już nie ogrzewany, bo ten piec ogrzewa całe pomieszczenie. Te budynki były drewniane, z całych bali drzewnych, tylko obciosane od wewnątrz i między nie wepchnięty mech, w którym doskonale trzymało się robactwo, więc raz na parę lat oni się przenosili w środku zimy, gdzie jest do pięćdziesięciu stopni mrozu, do drugiego pomieszczenia, tego letniego i wymrażali tutaj – przestali palić, otwierali okna, wymrażali całą tą część i parę lat nie było robactwa. Łaźnia była na podwórku, co najmniej sto pięćdziesiąt metrów, bo to też drewniane, gdyby się zapaliło, żeby nie spaliło domku. Ta łaźnia wyglądała tak: sionka, w sionce stały beczki, gdzie się przed kąpielą nalewało wody zimnej, z rzeki się nosiło zimą, bo studnie zamarzały, w drugim pokoju były schodki i było ogromne palenisko z grubych kamieni polnych i w tym wbudowany kocioł, gdzie się wlewało wodę i jak się napaliło tam, to się ta woda nagrzała do wrzątku. Na górze były otwarte takie korki w ścianach, czopy drewniane – jak się paliło, żeby ten czad wychodził, więc to była czarna łaźnia, bo sadza była na ścianach. Jak się wchodzi do tej łaźni, to mężczyźni i kobiety razem. Mnie usiłowali przekonać, że ja muszę przyjść z nimi, bo kto mi tą miotełką plecy obje, że muszę iść z nimi, bo się nie wstydzą, mężczyźni i kobiety razem. I jeden raz byłam razem z nimi – po paru minutach nie wiedziałam, czy cieknie mi z nosa, czy z uszu, skąd mi cieknie, byłam cała mokra, bo tak gorąco, tam para przecież taka jest. Nie wchodziłam wysoko, ja wchodziłam najwyżej na drugi schodek, nie dałam rady, wyskoczyłam ja głupia do tej sieńki i poleciałam do domu taka rozebrana. Oni sto pięćdziesiąt metrów idą, on boso i w kałesonkach, ona boso i tylko w koszuli, a dziecko trzymiesięczne ma okręconą pupę pieluszką i tak się idzie w taki mróz sto pięćdziesiąt metrów do budynku, tam dopiero [wyciera] się do sucha, bo tu nie da rady. To dziecko nawet nie zakasłało, nawet nie kichnęło. Ale sprawa jest inna – te słabe od razu nie przeżywają tego. No i te silne, ta dziewczynka, pięciolatka, wyszła zimą na dwór, nogi wsunęła w wołoki, nosiła zwykłą kretonową sukienkę, bez majtek, bez koszuli, bo w pokoju jest ciepło, z tą chusteczką stała z godzinę – oni sobie chustką zasłaniają zatoki – przyszła sina, nawet nie zakasłała. Inna rzecz, że w tym mrozie chyba nie ma bakterii. Krótkie lato, to im zależy na tych leśnych [zbiorach], więc posyłali pracowników

wszystkich i albo miałam przynieść szesnaście kilo grzybów albo piętnaście kilo jagód, z dwojga złego już wolałam szesnaście kilo grzybów, bo to było dużo szybciej zbierane, ale sobie przy okazji nazbierałam i jagód, i poziomek, i też grzybów. Na czym smażyć – tłuszczu nie ma. Herbata to był tak zwany czajny napitok, to były suszone obierki z owoców, sprasowane i to była herbata, trochę owocowa, bo herbaty jako takiej żeby tam dostać, to było marzenie ściętej głowy. Tłuszczu nie było. Ja zachorowałam na kurzą ślepotę i to jest straszna rzecz – póki słońce świeci, to ja widzę dobrze, tylko zajdzie słońce, jeszcze widno jest, a ja już nic nie widzę. Więc mnie powiedzieli, że muszę dostać tran. Gdzie ja dostanę tran? Jak zaczęłam popytywać na wsi, to oni powiedzieli, że mogą mi dać tłuszcz foki – galaretowata masa obciekająca śmierdzącym rybą olejem. Ale prawdę mówiąc, po dwóch łyżkach przewidziałam na oczy. Ale tego się nie wylewa, to jest tłuszcz, ja na tym smażyłam kartofle, jak one pachniały rybą, to były pyszne. Soliło się grzyby na zimę w buraczkach, to znaczy buraczok, to jest robiony pojemnik z kory brzozy, ale [kora] ściągnięta jest cała, żeby nie było przełamania gdzieś, jest dosyć elastyczna, wsadzone denko z drewna, bardzo ściśle, ta kora obejmuje dobrze, i taka sama przykrywka. I gotowało się te serowiatki różne jak się zbierało, przesypywało się solą i to solone zamykało, zimą do kartofli było jak znalazł, bo jakieś tam białko było w tych grzybach, marne, i te kartofle. Jeszcze jedną rzecz się jadło – brukiew. Sama brukiew jest niesmaczna, jeszcze surowe to kawałek [się] zje, ale gotowane jest obrzydliwe. Pamiętam, przed wojną byłam w sanatorium w Miedzeszynie i raz marchewka była dobra, a raz była jasna i niedobra – brukiew nam dawali. Wstawiało się ciuguncik – to jest żeliwny garnek, on ma wąskie dno, dlatego że się wpuszcza w kuchnię, nie przewróci się, a dobrze się gotuje – to się napełniało pokrojoną brukwią do pełna, potem się przymykało wieczko, zawijało dobrze w szmatę, bo kto tam miał gazetę, i wstawiało do pieca chlebowego rano, po wypieczeniu. Wieczorem to było brązowe na wierzchu, słodkie i pyszne, bardzo dobra była ta brukiew wtedy, tylko dzisiaj nie wiem, czy bym jadła. [Jak latem w lesie zbierało się] grzyby czy jagody, to wszędzie w głębszych dolinkach, jarach, leżał śnieg, trzydzieści stopni ciepła i nie topniał.

Dali nam któregoś dnia kosy i pokazali jak trzeba kosić, bo jutro jedziemy na sianokosy. Mój zamach tej kosy był może mniejszy niż u tych chłopów, co kosili, ale się nauczyłam bardzo szybko. Oni się denerwowali jak dostałam sierp, żeby ścinać zboże – pszenica, która miała nie wiem czy pół metra, bo to wszystko były miczurinowskie odmiany, chociaż my w Polsce się śmiejemy z Miczurina, ale to jednak tam rośło, nie było ozimej, pszenica musiała w krótkim lecie dojrzeć, żeby ją ścinać – jak ja zaczęłam sierpem kroić, to się ciachnęłam po palcu, bo źle trzymałam sierp, trzeba go do dołu trzymać. Powiedzieli, że ja nie jestem warta, żebym chleb jadła, bo nie umiem chleba zbierać. Tam wszystko trzeba umieć. Człowiek się szybko [nauczy]; wszystko co ludzie robią, ludzie potrafią, tylko powinni chcieć i mieć siły na to.

Po dwunastogodzinnej pracy – czy w lesie, czy później – jak zaciągnął na ulicy Rosjanin na harmonii, [to] się tańczyło.

Rosjanka zesłana do Komi

Tam była Rosjanka bardzo zaprzyjaźniona ze mną. Zaczęło się od tego, że ona miała zawsze książki do pożyczenia, a ja lubiałam czytać, nauczyłam się czytać płynnie po rosyjsku wtedy. Ona pożyczała, dała komu innemu, od tego wzięła książkę, nigdy nie wracała do mnie moja książka, ale jakaś książka wracała. I ona któregoś dnia się wprowadziła, to już było w Ajkinie, do mnie przyszła i powiedziała, że ona musi tu spać, bo nie ma gdzie. Tu gdzie mieszkała, wprowadziła się prokuratura, ona nie może mieszkać w prokuraturze i ją wyrzucili na bruk, to przyszła do mnie. I ona u mnie mieszkała jakiś czas w tym Ajkinie. Przyniosła swoją pościel – kołdrę miała, poduszkę – ja już nie musiałam spać z ojcem, spałam z nią. Materac był z wełny wielbłądziej, więc był bardzo ciepły. Ona miała lepiej jak my, bo pracowała na kolei, przyjmowała wagony, intendentem była czy czym, sprawdzała czy są otwarte, czy zamknięte, jak wagon okradziono, był otwarty, to policja przyszła i inni, bo musieli robić protokół. I ona miała dobry przydział jedzenia, lepszy niż my, bo myśmy dostawali sześćdziesiąt deko chleba, mały kawałek, to chyba glina jakaś, nie wiem z czego oni to robili. Ojciec mnie zmusił, że ten kawałek chleba musiałam dzielić na trzy, żeby jeść trzy razy dziennie, a nie raz, bo ja mogłam to od razu zjeść. Tłuszczu nie było, więc z czym to było jeść. Jak już miałam te parę kartofli swoich, to mogłam jeść z kartoflami, bardzo dobre jedzenie – suche kartofle, gotowane w łupince, i ten chleb. Ona miała przydział kaszy, miała więcej chleba, osiemdziesiąt deko, jak dostała bochenek, to był duży. Zaczęłam gotować zupy – jak czasem dostałam kawałek mięsa, pożał się Boże, to taką kosteczkę mięsa sobie włożyłam do garnka, żeby zupa nagotowała się. Myśmy potem zaczęli dostawać paczki UNRRY, a oni przysyłali głównie fasolę, kaszę, bo wiedzieli, że głód jest. Tłuszczu jakoś nie wpadło im do głowy żeby przesyłać. Ponieważ ona pracowała dwadzieścia cztery godziny, a potem miała wolne dwadzieścia cztery, to przychodziła czasem głodna i chętnie chciała się dołożyć, żeby mieć jeść to co my. Ja powiedziałam: „Dobrze, dasz to, co masz”. I [to] trwało tak długo, aż ona któregoś dnia przyniosła sobie jakiś obiad z rozłamanego wagonu i sama zaczęła jeść. Powiedziałam: „Widzę, że ci nie smakuje to, co ja gotuję. Dobrze, dzielimy się z powrotem. Sama sobie pitraś. Ja ci mogę ugotować zupę jak chcesz, ale już nie wspólnie”.

Potem jak [wywalczyli] – Sikorski i Wanda Wasilewska – że nas już wypuszczają z Komi, to ona wpadła w popłoch. Ona pochodziła z Leningradu, z dziada pradziada mieszkali w tym samym budynku, była aktorką komediową, chociaż chciała raczej w dramatach grać, ale była za mała i za drobna, żeby grać te dramaty – jak chciała, to jednoosobowo grała przede mną cały spektakl. [Pewnego dnia w Leningradzie] zgubiła swój paszport i nie zgłosiła tego od razu na NKWD, ten paszport znalazł ich dozorca i naskarżył NKWD, że ona chodzi bez paszportu. Dostała cztery lata obozu

w Komi. Ona ten obóz przeżyła tylko dlatego, że była aktorką. W obozie jest tak, [że] jest przydział jedzenia, zupa byle jaka, kawałek chleba na cały dzień, jakaś kawa gorzka. Jeśli się zrobi więcej, to się dostaje większy kawałek chleba, jak się zrobi mniej, dostaje się mniej, a jak [ktoś] nie ma siły i robi jeszcze mniej, dostaje jeszcze mniej. I są takie dochodiagi, ludzie wychodzą z obozu spuchnięci z głodu, bo piją tyle wody, żeby się nasycić. Oni się śmieli, że tona wody to jest kilo słoniny, a wiadro wody to jest kilo chleba. Te dochodiagi jak wychodziły z tego obozu, to on szedł do tych stołówek, wypijał, co ludzie zostawiali, co nie dopili tego kapuśniaku, nie miał siły pracować, więc w końcu umierał. Ona przeżyła obóz tylko dlatego, że była aktorką, że odgrywała różne role. I chciała uciec z Komi, ale już nie miała prawa powrotu do Leningradu, to była przecież stalinowska sprawiedliwość. Jak usłyszała, że wyjeżdżamy, to zaczęła wszystkich – i mojego ojca, i innych mężczyzn – prosić o ślub, taki na niby, ale nikt z polskich ludzi, ani Polaków, ani Żydów, nie chciał brać ślubu: „Jak to wezmę ślub, jak nie jestem zakochany?”. A ojciec myślał o matce. Ja nie miałabym nic przeciwko temu, żeby ona weszła do naszej rodziny, ale ojciec nie wiedział wtedy, że matka nie żyje, a ja już wiedziałam.

Pobyt na Ukrainie

Ludzie wyjeżdżali stamtąd [z Komi] na Daleki Wschód jeszcze – z tego chłodu do ciepła. Myśmy uważali, że [lepiej] bliżej Polski, myśmy wyjechali na Ukrainę, z początku do jakiegoś kołchozu, gdzie się pracowało na polu. Cztery lata byłam w Komi, czyli jak wyjechałam w '40, [to] w '44 roku, latem, wyjechaliśmy stamtąd. Przyjechaliśmy do takiej wioski, ojciec jeszcze nie był zegarmistrzem, pracowaliśmy w kołchozie. Ponieważ Ukraina była strasznie zdewastowana przez Niemców, dopiero niedawno wyszli stamtąd, to pojedyncze krowy były i zamiast koni krowy się zaprzęgało i one ciągnęły wózki. Nie pracowałam stricte na polu, tylko jeździłam po słomę z tymi krowami i te gospodynie, właścicielki któreś krowy też szły z nami, bo one mówiły, że my za dużo ładujemy i te krowy poronią, jeśli są cielne. Nauczyłyśmy się tak kłaść tą słomę, żeby ona nie zjeżdżała, bo to jest też nauka. Tą słomą opalało się mieszkania, tą słomą się gotowało w kuchni i na tej słomie się piekło chleb.

Na Ukrainie zaczęło się popijanie. Każde miasto polskie trzeba było oblać; nie było dnia, żeby się nie oblewało miasta polskiego. Pierwsze takie picie to były Zielone Świąta, żeśmy poszły na wieś, to się szło od domu do domu i się jadło i piło. Tam co prawda nie za bardzo było co jeść, ale na Ukrainie było już o tyle lepiej, że były bazariki, gdzie już można było coś kupić. I w te Zielone Świąta myśmy wyszli i w każdym domu czegoś się napiliśmy i coś zjedliśmy, co tam mieli, byle co, Rosjanie i Ukraińcy to jest gościnny naród, to są Słowianie, słowiańska natura. Na samym końcu podali nam mleczny budyń, nawet niezbyt słodki, ale to jakby ugasiło ten alkohol. Piło się bimber, bo co tam było do picia. Druga popijawa, największa, była, kiedy o trzeciej w nocy – nie było radia, tylko wisiał głośnik, to nie grało ciągle, tylko jak było coś do zakomunikowania, to się głośnik odzywał – o trzeciej nad ranem odezwał się Stalin:

„Dzisiaj zakończyliśmy wojnę. Podpisano rozejm w Niemczech”. To jak myśmy o trzeciej wyszli na wieś, to o dwunastej w południe, jak się skończył bimber, to ja powiedziałam: „Moja droga, jesteś pijana, ty idziesz spać”, bo ja nie lubię piwa, nie chciałam, a mieli tylko piwo jeszcze. To była popijawa na sto dwa.

Wtedy myśmy się przenieśli z tej wioski do Bachmacza, który był niedaleko. Ojciec mój pojechał tam, żeby się dowiedzieć, czy dostanie pracę jako zegarmistrz i spotkał jakiegoś człowieka na dworcu, który widząc, że ten człowiek tak niepewnie się rozgląda, zaczepił go po rosyjsku; jak słyszał jakim rosyjskim mówi, to przeszedł na polski; jak usłyszał jakim polskim mój ojciec mówił, bo nie mówił tak bardzo dobrze, to przeszedł na język żydowski. I on powiedział, że tu jest kołchoz cukrowniczy, gdzie buraki przerabiają, mają cukrownię i on ojca zaprowadził, bo to od dworca był kawałek drogi, do śródmieścia, żeby poszukał ojciec mieszkanie, gdzie mógł pracować jako zegarmistrz i mogliśmy zamieszkać. Jak mój ojciec wrócił i powiedział, że spotkał takiego młodego człowieka, który nazywa się Mass, Bolesław Mass, to wtedy jeszcze po żydowsku Boruch, czyli błogosławiony, to ja sobie pomyślałam wtedy: „To będzie mój mąż”. Jak mówię, mam intuicję. Potem myśmy przenieśli się do tego Bachmacza, to jest takie wojewódzkie miasteczko, ale tak jak te rosyjskie, bardziej parterowe, szeroko rozstawione, o kwadratowych ulicach, gdzie można było wszędzie trafić, wiadomo było jak i co. I myśmy się wybierali do tego kołchozu cukrowniczego, bo tam nasi znajomi mieszkali. Parę razy tam byliśmy i sobie myślę: „Ten cholerny Mass się nie pokazuje”. Tam dziewcząt z Polski nie ma, zarówno Polacy, jak i Żydzi startowali do jedynych dziewcząt, które tam były, [była] jedna dziewczyna, ja byłam druga, która przychodziła. Aż któregoś dnia przyszedł ten Mass. Pamiętam tą rozpiętą koszulkę, bo było gorąco, i tą piegowatą pierś, bo on był piegowaty, kiedyś mu skóra zlaźła i zostały takie piegi. Przedstawili nas sobie, „Dzień dobry”, „Dzień dobry”, „Ale ja muszę lecieć” i on uciekł. Sobie myślę: „O, ty taki, owaki”. Tam poznałam innego chłopca, zaczęłam nawet z nim chodzić o tyle, o ile, bo on był tam, a ja w tym mieście, ale spotykaliśmy się raz w tygodniu. A potem się okazało, że gdziekolwiek bym nie poszła, to ten Mass wyrasta. Ja idę z tamtym tu, on też tam idzie. Ja idę tu, on też tam jest. Ten co zaczął ze mną chodzić, jakby się wycofywał. Sobie myślę: „O, ja nie lubię ludzi o słabej woli”. Dla mnie mężczyzna powinien mieć silną wolę. No i nie wiem kiedy zaczęliśmy z tym Massem chodzić i został moim mężem.

Ślub Żyda z Ukrainką w Związku Radzieckim

Z Ukrainką Żyd się żenił. Nie było jeszcze w Związku Radzieckim ślubów innych, brali chyba cywilny, ale wesele to było tak: rodzina panny młodej stawia wałówkę, goście przynoszą alkohol – mężczyźni, bez litkupu, tak to się nazywa, nie wejdzie [się]. Oczywiście to było wszystko bimber, czasy były inne, nie było innego alkoholu, może i był, ale bardzo drogi. Piło się w szklankach, nie ma jeszcze kieliszków. Pół szklanki nalali – „teraz się pije...”, „teraz toast wznosi teść”, „a teraz toast wznosi teściowa”, „a

teraz...” – cała rodzina, po kolei do każdego trzeba wypić, bo to jest obraza, jak nie wypiję toastu. Siedzieliśmy dwanaście godzin przy stole. Pierwsze danie to chyba była jakaś galaretka. Póki nie zeszła ze stołu, czyli nie została prawie zjedzona, to się nie podało następnego dania, czyli przez te dwanaście godzin co najmniej dziesięć, jedenaście dań się jadło. Wypiłam przez ten czas chyba z litr alkoholu, przez te dwanaście godzin można było [tyle] wypić, z tym że ja po alkoholu jestem od razu głodna, więc ja pojadłam to, co było. Na samym końcu [była] śmietana z piwnicy, którą można było nożem kroić, taka gęsta, pyszna. Jak taką miseczkę tej śmietany zjadłam, to wstałam od stołu nażarta, ale nie napita, jak bym w ogóle nie piła alkoholu, cały rausz minął.

Inna rzecz, jak oni przyjechali do Polski, to się rozpadło to małżeństwo. Nie wytrzymało próby czasu. Może ona tęskniła do domu, może inaczej się zachowywała niż on chciał, może się wstydził tej żony innej, chociaż były już mieszane małżeństwa. Przed wojną [to] było rzadkie, bo – jak mówią u Żydów – zmiana wiary to była śmierć tej osoby i już się [jej] nie uznawało.

Śluby żydowskie

Tu gdzie rabin przemawia czy Torę czyta, jest zrobiony dach, taki baldachim jakby, żonę się oprowadza siedem razy dookoła męża i ślub jest zawarty. Jeszcze on tam coś mówi, wszystko nieciekawe. Młodzi nie jedzą przedtem, cały dzień poszczą. Ją się ubiera w innym pokoju, on nie ma wstępu do niej i się zakłada tą chustkę, tak że nie widzi jej twarzy. U ortodoksyjnych małżeństwa to swaci wybierają, ona jego nie zna, on jej nie zna. Ją się ubiera i prowadzi dopiero do synagogi, on pierwszy staje i się ją [do niego] prowadzi.

Potem jest taka sprawa, że jak się bawia, to oddzielnie kobiety, oddzielnie mężczyźni. Są pokładziny. [Państwo młodzi] dopiero po ślubie zaczynają jeść.

Dania są tradycyjne, jakiś tam rosół, oczywiście ryba i inne rzeczy, śledź. Podaje się czysty biszkopt. Ja strasznie lubiłam ten biszkopt jeść z marynowanym śledziem. To była moja fanaberia.

Życie po powrocie do Polski

Dopiero w lutym w '46 roku oni zdecydowali, że nas wypuszczą. Żądają od nas dokumentów. Przecież oni nam te dokumenty zabrali, bo za każdym szły te dokumenty; gdziekolwiek byliśmy, te dokumenty też były. I ja wtedy wyciągnęłam książeczkę z ubezpieczalni. Jeśli wzrok zabija, to ja już nie żyję – jak to, ja chowałam książeczkę z ubezpieczalni i oni o tym nie wiedzieli, nie oddałam im?

Mówili znajomi, że ja powinnam wziąć ślub z tym Massem, bo przecież jeśli on nie ma dokumentów, to go nie wypuszczą. Ale oni mieli te wszystkie dokumenty. Więc nas wsadzili znowu w te bydlęce wagony, tylko już tym razem trochę lepiej wyglądające i nas wywieźli do Dzierżoniowa, wtedy to się nazywało Reichenbach, później była zmiana na Rychbach po polsku, a potem się zrobił Dzierżoniów. Tam

mieszkaliśmy do '50 roku. Mąż od razu jak myśmy przyjechali do Dzierżoniowa, napisał list do PUR, że szuka rodziny. [On pochodził] z Warszawy. Szukał rodziny, wymienił nazwiska. Najmłodsza szwagierka, siostra męża, studiowała wtedy socjologię w Warszawie, tej zrujnowanej Warszawie i ona chodziła do tego PUR-u, bo one go szukały jeszcze wcześniej, ale nikt nie wiedział nic, nawet ten Związek Patriotów podobno nie wiedział, też porządek. I nagle patrzy – na wierzchu leży pismo brata. Któregoś dnia, ja jestem w domu, w ciąży ze starszą [córką], zjawia się kobieta. Nosiła futro, [które podrapało] jej twarz, cała w plamach czerwonych, mówi: „Przepraszam, czy tu mieszka Bolesław Mass?”, ja mówię: „Tak”, „A pani jest jego żoną”, ja mówię: „Tak”, „A ja jestem jego siostrą”. Była u mnie wtedy koleżanka, razem z Komi byłyśmy, powiedziała: „To ja lecę powiedzieć Bolkowi”. A mąż wtedy pracował u ojca jako zegarmistrz, bardzo szybko pojął pewne rzeczy. Więc ona poleciała do sklepu, beczelnica powiedziała: „Dasz na pół litra, to ci coś powiem”, a on tak jak stał mówi: „Boże, siostra przyjechała”. Bez ubrania, to był luty, przyleciał do domu. Oczywiście od razu wyjechali. Okazało się, że ona mieszka w Gliwicach, że druga siostra też przeżyła i jeszcze mieszka z nimi Polka, która była po prostu moją trzecią szwagierką, bo ona uratowała je z warszawskiego getta. Rodziców nie zdążyła wyciągnąć, zresztą oni też źle mówili po polsku, chociaż w domu się mówiło po polsku. [Mąż] pojechał zobaczyć siostrę, ta druga też przyjechała kiedyś, potem przyjeżdżała ta polska szwagierka, a potem one się przeprowadziły z Gliwic do Warszawy, jak zaczęto [ją] odbudowywać, i mąż tak strasznie też dążył do Warszawy. One pracowały w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a dla niego znalazły pracę w Urzędzie Rady Ministrów. Wyjechał, [druga córka] właśnie się urodziła, miała kilka miesięcy, przyjeżdżał raz w miesiącu, żeby być z dziećmi, myśmy mieszkali w Dzierżoniowie. W '50 roku dostał mieszkanie i wtedy ściągnął nas do Warszawy. Ojciec nie chciał jechać, bo on miał tam akurat kobietę, z którą był razem, ale po roku przyjechał do nas. Myśmy wtedy zamieszkali na Żoliborzu, naprzeciwko obecnego Teatru Komedia. Mąż pracował w Urzędzie Rady Ministrów, ale w '68 roku, jak zaczęły się te historie, to go zwolnili i przez krótki czas pracował na Filtrowej w Urzędzie Miar i Wag jako księgowy. On skończył przed wojną szkołę techniczną, Technikum Wawelberga i dzięki temu przeżył okupację, bo on był w obozie, ale pracował przy traku jako technik, nie pracował w lesie, miał większy przydział chleba, jeszcze ratował ludzi od głodu. I tutaj na razie jako księgowy zaczął pracować, a potem go ściągnęli z powrotem do Urzędu i pracował w „Monitorze”. Myśmy mieszkali daleko, [więc] mąż wystąpił o zmianę mieszkania. Myśmy jeszcze przedtem zmienili mieszkanie, zamieszkaliśmy na Czarnieckiego i tam miałam taki sad, gdzie rosły różne rzeczy dobre, a potem żeśmy się przeprowadzili tutaj, dostaliśmy mieszkanie. Mąż pracował w tym Urzędzie Rady Ministrów później aż do emerytury. Mieszkał akurat naprzeciwko, miał [blisko] do pracy.

Ja nie pracowałam, jakiś czas szłam dla znajomych, dla obcych raczej nie, dzieci obszywałam, rodzinę obszywałam. I jakoś to życie leciało. W listopadzie będzie

dwadzieścia lat jak mąż nie żyje. Z początku myślałam, że sobie nie dam rady, bo on wszystko trzymał w rękach. [Gdy] starsza córka [o coś pytała, mówiłam]: „Idź, spytaj tatę, jak chcesz”, „Ma to samo zdanie co ty. Nigdy nie powie nic innego” – nie powie, bo my w obecności dzieci nie różniliśmy się w zdaniach, między sobą mogliśmy podyskutować, ale dzieci miały jedno zdanie [rodziców] i tak powinno być. One nie nauczyły się żydowskiego, chociaż starsza rozumie, bo była ciekawska. Mąż uważał, że mieszkamy w Polsce i w domu się mówi po polsku. Ja uważałam, że swój język powinny znać. Ja do dziś czytam i piszę po żydowsku, inna rzecz, że błędnie, bo już teraz dużo hebraizmów jest. Dostaję pismo z Izraela i jeszcze czytam, mówić już nie umiem, mówię jak muszę, ale już jąkam się, bo teraz się mówi tym zaciągany literackim językiem, a ja mówię językiem lubelskim – [gdy ktoś] mówi w moim języku, to ja od razu wpadam w ten ton i mówię dobrze, a jak zaczyna wymawiać po literacku, to nie zawsze pamiętam. [Z mężem rozmawialiśmy] czasem po żydowsku, jak chcieliśmy, żeby dzieci nie bardzo wiedziały [o czym mowa]. Dlatego starsza nauczyła się rozumieć. Ale [córki] o tym, że są Żydówkami wiedziały, bo to nie jest ani powód do dumy, do chwały, ani powód do wstydu – jest się, kim się człowiek urodził. .

Jak się tu wprowadziłam, z początku nie miałam specjalnego kontaktu z sąsiadami, bo oni też po kolei się wprowadzali, dzieci już były właściwie dorosłe, już pracowały, już uczyły się. Ale jak mąż umarł i zaczęłam być sama, to wtedy zaczęłam mieć kontakt z sąsiadami. Od początku uprzedzałam, że jestem Żydówką, po pierwsze, żebym się nie zjawiała tu, gdzie mnie nie chcą, bo różni ludzie tu mieszkają, po drugie, żeby nie było jakichś głupich sytuacji, że coś powiedzą, czego nie powinni i czują się później głupio. I do mnie mówi sąsiadka: „Ty nie jesteś Żydówką z Polski, tylko jesteś polską Żydówką, a to jest zupełnie co innego”, ja mówię: „Tak, bo ja przede wszystkim jestem dużą patriotką”.

Wizyty w Lublinie

[Po powrocie z Ukrainy nie pojechałam do Lublina]. Nie chciałam, bo dla mnie Lublin to już nie był ten Lublin. Byłam tam z dziećmi, już dorastającymi pannami, jak budowali ten pomnik, potem drugi raz Marysia pojechała ze mną, bo [akurat] tam jechała.

Pokazałam [córkom] gdzie mieszkałam, nawet weszłam do tego mieszkania. Ono przetrwało. To jest taki mały domek przylepiony do dużego na tyłach Teatru [im. Osterwy]. Wielka ściana budynku i do tego budynku był przyklejony ten [nasz] budynek. Właściwie to było odwrotnie – wpierw stał ten mały budynek, a potem postawili ten duży, a ponieważ w kuchni oni nie mieli pozwolenia na okno, to dostawili mur i to okno było ciemne – co z tego, że okno i szyby, jak było ciemne. Jeden pokój był mały, drugi trochę większy. Mieszkało nas tam pięć osób, więc było dosyć ciasno. Matka co pewien czas zarządzała zmianę łóżka małżeńskiego, że postawi tak, postawi tak, będzie lepiej, a ojciec nieodmiennie wypadał z łóżka, bo nie z tej strony

miął ścianę.

Ja [wtedy] zapukałam i powiedziałam: „Przepraszam bardzo, czy mogłabym dzieciom pokazać, w jakim mieszkaniu mieszkałam?”. [Pani, która tam mieszkała], powiedziała: „Ale waszych rzeczy tu nie ma”, ja mówię: „Proszę pani, ja nie przyjechałam ani po rzeczy, ani sprawdzać rzeczy”. Pozwoliła nam, weszliśmy wtedy. To był chyba ten pierwszy raz, jak pomnik stawiali. Weszłam z nimi do tego mieszkania, one obejrzały, ja podziękowałam. Tam jeszcze jest takie boczne okienko z małego pokoju, na dole stały komórki i z tego okna myśmy na ten dach wylaziły, żeby się bawić.

Ocalały Żyd z Lublina

Przeżył jeden z lubelskich Żydów, który później wyjechał do Izraela. Josef Fraind. On pracował na Peowiaków. Tam była taka rodzina, która trykotaże robiła, i on tam pracował, a myśmy z tą rodziną się przyjaźnili, też na Peowiaków była ta rodzina, ja go wtedy poznałam. Po wojnie myśmy go spotkali w Warszawie, ale on był wtedy w wojsku. Jak go z wojska wyrzucili jako Żyda, to on wyjechał do Izraela, do końca mieszkał w Izraelu, dwa lata temu umarł.

On mnie znalazł przez TSKŻ, bo ja chodziłam na jidysz, coś tam napisałam do gazety, on to przeczytał w gazecie żydowskiej i zadzwonił, czy mają mój adres i oni podali mu. W ten sposób żeśmy się skomunikowali. I potem całe lata pisywaliśmy do siebie, on po żydowsku, ja po polsku, nie chciałam z błędami pisać.

Wspomnienia

Starsza córka kiedyś do klubu TSKŻ przyprowadziła śpiewaczkę, która śpiewa w polskiej operze, piękny sopran, ona takie vibracje w śpiewie ma, że człowiek sobie przypomina różne rzeczy, jeden wesole, drugi smutne. To już było po śmierci mojego męża parę lat, jak ona zaczęła śpiewać tam w klubie, ja słuchałam z zamkniętymi oczami, w pewnym momencie znalazłam się przede wszystkim w Kazimierzu, obeszłam pusty Kazimierz bez jednego człowieka, a potem nagle znalazłam się w tak samo pustym Lublinie i obeszłam cały Lublin. I w końcu zobaczyłam moją starszą córkę, jak stoi przy mnie i mówi: „Nie płacz”. Ja zaczęłam płakać w nocy po śmierci męża i ona zatrzymała mnie, nie dała mi się wypłakać. I ja zaczęłam wtedy tak histerycznie płakać, że ja się wyniosłam z tego klubu, uciekłam do drugiego pokoju, bo się wstydziłam ludzi. To jest moment, [kiedy] wreszcie ta trauma odeszła. Ja nie płakałam, bo żydowskie pogrzeby wyglądały zawsze tak, że szły kobiety, strasznie płakały. Polacy uważali, że to są płaczki – to nie były płaczki, ale pogrzeb był tego samego dnia, kiedy człowiek umarł, chyba że to była sobota, nie wypłakały się, więc płakały na pogrzebie. I ja sobie wtedy jako dziecko przysięgłam, że ja płakać nie będę i nie płaczę na pogrzebach, ale gdzieś ten płacz musi odejść. Jeśli [córka] nie pozwoliła mi się wypłakać, to ja później już nie mogłam, wtedy ta trauma zostaje i nie chce zniknąć.

Data i miejsce nagrania	2013-05-22
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"